KARIN

SLAUGHTER

BLONDYNKA, NIEBIESKIE OCZY

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Karin Slaughter

Blondynka, niebieskie oczy

Tłumaczenie:
Bogumiła Nawrot

Poniedziałek, 4 marca 1991 roku
Godzina 7.26
North Lumpkin Street, Athens, Georgia

Poranna mgła spowijała śródmiejskie ulice, oplatając niczym pajęczyną śpiwory leżące na chodniku przed Georgia Theater. Upłynie jeszcze przynajmniej dwanaście godzin, nim zaczną wpuszczać publiczność, ale miłośnicy zespołu Phish koniecznie chcieli zająć miejsca w pierwszym rzędzie. Dwóch potężnie zbudowanych młodych mężczyzn całkowicie wypełniało plastikowe krzesła ogrodowe, które postawili tuż obok drzwi wejściowych zabezpieczonych łańcuchem. U ich stóp leżały puszki po piwie, niedopałki i pusta torebka po kanapce, która prawdopodobnie zawierała dużą ilość zioła.

Powiedli wzrokiem za Julią Carroll, która właśnie szła ulicą. Czuła na sobie ich lepkie spojrzenia. Szła wyprostowana, patrząc przed siebie i zastanawiając się, czy wygląda na zimną i wyniosłą. Po chwili z lekką irytacją zadała sobie pytanie, czy to ważne, jak wygląda w oczach tych całkowicie jej obcych chłopaków.

Nigdy nie była aż tak przewrażliwiona.

Athens to miasto uniwersyteckie. Uniwersytet Georgii zajmował niemal trzysta dwadzieścia hektarów najlepszych terenów w mieście i zatrudniał ponad połowę mieszkańców hrabstwa. Julia tu dorastała, obecnie była studentką dziennikarstwa i reporterką studenckiej gazety. Jej ojciec był profesorem na wydziale nauk weterynaryjnych. Jako dziewiętnastolatka wiedziała już doskonale, że alkohol

i sprzyjające okoliczności mogą przemienić sympatycznych chłopaków w osobników, których nikt nie chciałby spotkać w piątkowy ranek.

A może zachowuje się niemądrze. Przypomniała sobie, jak pewnego razu przechodziła późnym wieczorem obok Old College i usłyszała za sobą odgłosy kroków. Gdy jakiś cień wyłonił się z ciemności, jej serce szybciej zabiło i już chciała się rzucić do ucieczki, ale akurat wtedy postać, która tak ją przeraziła, zawołała ją po imieniu. Okazało się, że to Ezekiel Mann, którego poznała na wykładach z biologii.

Ezekiel najpierw opowiedział jej o nowym samochodzie kupionym przez brata, potem zaczął cytować teksty Monty Pythona. Julia coraz bardziej przyśpieszała kroku, więc kiedy dotarli do akademika, tak naprawdę już biegli. Ezekiel oparł rękę o szybę, kiedy Julia weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi.

– Zadzwonię do ciebie! – krzyknął.

Uśmiechnęła się do niego i kierując się ku schodom, pomyślała: Boże, spraw, żebym nie musiała urazić jego uczuć.

Julia była piękna. Wiedziała o tym od dziecka, ale zamiast się z tego cieszyć, zawsze uważała to za dodatkowe obciążenie. Ludzie mieli wyrobione zdanie o ładnych dziewczynach. Że są zimne, gotowe każdemu wbić nóż w plecy i zawsze dostają za swoje w filmach Johna Hughesa. Były zdobyczami, po które nie śmiał sięgnąć żaden chłopak w szkole. Wszyscy brali jej nieśmiałość za zadzieranie nosa, rezerwę za dezaprobatę. To, że z powodu

tych stereotypów w wieku dziewiętnastu lat była dziewicą pozbawioną przyjaciół, pozostało niezauważone przez wszystkich z wyjątkiem jej dwóch młodszych sióstr.

Na uczelni miało wyglądać to inaczej. Wprawdzie akademik był oddalony od rodzinnego domu o niespełna pół kilometra, ale Julia uznała to za okazję, żeby się wykreować od nowa, stać się osobą, jaką zawsze chciała być: silną, pewną siebie, szczęśliwą, zadowoloną z życia (i wreszcie niedziewicą). Zdusiła wrodzone skłonności do siedzenia w pokoju i oddawania się lekturze, porzuciła postawę nieprzejmowania się tym, że omija ją to wszystko, co dzieje się za drzwiami. Teraz zaczęła się tym przejmować. Wstąpiła do klubu tenisowego i do klubu biegaczy, a także do kółka przyrodniczego. Trzymała się z dala od klik, rozmawiała ze wszystkimi, uśmiechała się do nieznajomych. Umawiała się z chłopakami, którzy byli mili, chociaż niekoniecznie interesujący, a ich desperackie pocałunki kojarzyły jej się z minogami przyssanymi do boku pstrąga.

A potem dowiedziała się, co spotkało Beatrice Oliver.

Julia śledziła historię dziewczyny, czytając dalekopisy przychodzące do redakcji studenckiej gazety *Red & Black*. Beatrice miała dziewiętnaście lat, tyle samo co Julia. Blond włosy i niebieskie oczy, jak Julia. Była studentką, jak Julia.

Była śliczna.

Pięć tygodni temu Beatrice Oliver wyszła około dziesiątej wieczorem z domu swoich rodziców. Udała się pieszo do sklepu po lody dla ojca, którego bolał ząb. Julia nie wiedziała, dlaczego ta informacja szczególnie utkwiła jej

w pamięci. Wydawała jej się podejrzana, bo niby skąd pomysł, żeby zjeść coś zimnego, kiedy boli ząb? Ale rodzice Beatrice powiedzieli o tym policji, więc ten szczegół znalazł się w relacji.

Beatrice Oliver już nigdy nie wróciła do domu.

Julia nie mogła przestać myśleć o jej zniknięciu. Wmawiała sobie, że dzieje się tak dlatego, bo chciała o tym napisać w *Red & Black*, ale w rzeczywistości śmiertelnie ją przeraziło, że ktoś – nie, nie ktoś, tylko dziewczyna w jej wieku – może wyjść z domu i już nigdy do niego nie wrócić. Julia chciała poznać wszystkie szczegóły. Zależało jej bardzo na tym, by porozmawiać z rodzicami Beatrice Oliver, a także przeprowadzić wywiad z przyjaciółmi, kuzynem, sąsiadem, aktualnym czy byłym chłopakiem, w ogóle z kimkolwiek, kto mógłby jej pomóc zrozumieć, dlaczego dziewiętnastoletnia dziewczyna, która miała przed sobą całe życie, przepadła bez śladu.

„Podejrzewamy porwanie” – zacytowano w pierwszym doniesieniu wypowiedź funkcjonariusza policji. Nie zniknęły żadne rzeczy osobiste Beatrice, ani torebka, ani pieniądze, które trzymała w szufladzie ze skarpetkami, a jej samochód nadal stał na podjeździe przed domem rodziców.

Najbardziej mrożące krew w żyłach oświadczenie padło z ust matki Beatrice Oliver: „Jedynym powodem, dlaczego moja córka nie wróciła do domu, może być to, że ktoś ją przetrzymuje wbrew jej woli”.

Ktoś ją przetrzymuje.

Julia aż się wzdrygnęła na myśl, że ktoś mógłby ukraść jej wolność i „przetrzymywać” z dala od bliskich, w ogóle z dala od tego wszystkiego, czym żyła. W książkach z dzieciństwa potwory zawsze były chude, czarnowłose i budziły grozę, były wilkami w owczej skórze, ale niewątpliwie (jeśli im się bliżej przyjrzeć) były wilkami. Wiedziała, że w prawdziwym życiu dzieje się inaczej niż w bajkach. Nie jest łatwo dostrzec charakterystyczne wąsy i bródkę, które zdradzają, że rzekomy wilk to Zły Człowiek.

Beatrice Oliver mógł przetrzymywać jej przyjaciel lub kolega z pracy, sąsiad bądź były czy aktualny chłopak, czyli ci wszyscy, z którymi Julia chciała przeprowadzić wywiad w cztery oczy, bez świadków, uzbrojona jedynie w notes i długopis. Porozmawiać z człowiekiem, który mógł właśnie w tej chwili przetrzymywać Beatrice Oliver w jakimś okropnym miejscu.

Położyła dłoń na brzuchu, czując, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Obejrzała się do tyłu, spojrzała w lewo i w prawo. Miała wrażenie, że jej oczy latają we wszystkie strony.

Próbowała przekonać samą siebie, że ten niepokój jest zupełnie bezpodstawny. Bardzo możliwe, że niepotrzebnie tak się nakręca, przecież może nigdy nie dojść do tych wywiadów. Zanim porozmawia z kimkolwiek, musi najpierw postarać się o to, żeby właśnie jej zlecono temat „Zniknięcie Beatrice Oliver”, ponieważ dziennikarz sprawozdawca ma specjalne uprawnienia, może przeprowadzać wywiady i zadawać różne pytania różnym

osobom. Natomiast zwykła autorka choćby najliczniejszych i najobszerniejszych artykułów, jak na przykład Julia, gdyby podjęła aktywne dziennikarskie śledztwo, mogłaby być uznana za osobę wścibską, przekraczającą swe uprawnienia.

Największego sprzeciwu spodziewała się ze strony Grega Gianakosa, studenta pełniącego obowiązki redaktora naczelnego, który uważał się za następcę Waltera Cronkite'a. Patrząc na niego, Julia przypominała sobie, co jej ojciec mówił o psach rasy beagle: że najbardziej lubią słuchać własnego głosu.

Gdyby udało jej się pozyskać Grega, wtedy Lionel Vance, pupilek Grega, nie zgłosi zastrzeżeń, choć był zły na Julię, bo nie zgodziła się z nim umówić. Ostatnią przeszkodą byłby pan Hannah, kierownik studiów, który był bardzo miły, ale zdecydowanie wolał, by redakcyjne zebrania przypominały relacje ze skoków do wody z wysokiego urwiska zamieszczane w *Wide World of Sports*.

Skręcając w kolejną pustą ulicę, Julia w myślach układała sobie, jak spróbuje sprzedać pomysł na swój artykuł.

Beatrice Oliver, dziewiętnastoletnia dziewczyna, mieszkająca ze swoimi rodzicami...

Nie, zasną z nudów, nim dokończy zdanie.

Zaginiona dziewczyna!

Nie. Wiele dziewczyn znika i zwykle kilka dni później się odnajduje.

Młoda dziewczyna idzie późnym wieczorem do sklepu, kiedy nagle...

Julia obróciła się gwałtownie.

Usłyszała za sobą jakiś hałas. Był to odgłos szurania, jakby ktoś szedł ulicą, powłócząc nogami. Gdy znów się rozejrzała, dostrzegła kawałki potłuczonego szkła, butelki po piwie, porzucone gazety, ale nic poza tym. Przynajmniej nic, co mogłoby wzbudzić niepokój.

Wolno i ostrożnie znów ruszyła przed siebie, uważnie przyglądając się wejściom do budynków i zaułkom, po czym przeszła na drugą stronę ulicy, żeby ominąć wielką stertę śmieci.

Czysta paranoja.

Reporterzy powinni patrzeć na wszystko chłodnym okiem, ale odkąd przeczytała o Beatrice Oliver, sny Julii obfitowały w szczegóły, będące wytworami jej bujnej wyobraźni. Beatrice szła ulicą. Była ciemna noc. Chmury przesłoniły księżyc. W powietrzu czuć chłód. Dostrzegła ognik papierosa, usłyszała ciche stukanie butów na asfalcie, a potem poczuła, jak dłoń z plamami od nikotyny zaciska się na jej ustach, poczuła ostry jak brzytwa nóż na swojej szyi, poczuła kwaśny oddech napawającego przerażeniem napastnika, który zaciągnął ją do samochodu, zamknął w bagażniku, a potem gdzieś wywiózł i uwięził w ciemnym i wilgotnym pomieszczeniu.

Gdyby pani Carroll nie była bibliotekarką, zapewne uznałaby, że źródłem tych mrocznych urojeń są książki, które czytała jej córka, i wymieniłaby takie na przykład tytuły: *Obcy przyjaciel, Helter Skelter, Milczenie owiec.* Ale matka Julii była bibliotekarką, więc prawdopodobnie tylko

wzruszyłaby ramionami i poradziła najstarszej córce, żeby unikała powieści, które wywołują u niej koszmary, i zajęła się innymi lekturami.

A może ten strach, może dopuszczanie do głosu okropnych, przypominających obsesję lęków, uodporniło ją na niebezpieczeństwo?

Otarła pot z czoła. Serce tak mocno jej waliło, że czuła, jak ją łaskocze bawełniana koszulka. Sięgnęła do torebki. Spoczywał w niej walkman owinięty w żółtą apaszkę. Obiecała siostrze, że podrzuci apaszkę do domu. Położyła palec na klawiszu „odtwarzanie”, ale go nie nacisnęła. Chciała tylko poczuć kasetę w środku, przywołać w myślach niestaranne pismo chłopaka, który ją dla niej nagrał.

Robin Clark.

Julia poznała go dwa miesiące temu. Najpierw były liściki, rozmowy telefoniczne i kilka spotkań w większym gronie, podczas których patrzyli na siebie i trzymali się za ręce, aż w końcu kiedyś zostali sami. Całował ją tak długo i tak dobrze, że mało nie postradała zmysłów. Raz wstąpiła razem z nim do swojego domu, ale nie po to, żeby przedstawić go rodzicom, ale żeby odebrać pranie. Jej młodsza siostra podkpiwała, że Robin to babskie imię, aż Julia trzepnęła ją w ramię, żeby się zamknęła. (Przynajmniej ten jeden raz smarkula nie poskarżyła się rodzicom).

Na kasecie były piosenki, które według Robina powinny się spodobać Julii, a nie takie, które chciałby, żeby jej się podobały. Więc zamiast utworów Styxów, Chicago i Metalliki były piosenki Belindy Carlisle i Wilsona Phillipsa,

trochę Beatlesów i Jamesa Taylora oraz masa przebojów Madonny, ponieważ Robin uważał, podobnie jak Julia, że Madonna fantastycznie śpiewa.

Po raz pierwszy w życiu Julii jakiś chłopak zaakceptował ją taką, jaka jest, a nie próbował jej zmienić, by mu pasowała. Julia przez wiele lat udawała, że lubi solówki na perkusji, skrzekliwe riffy gitarowe i pirackie nagrania wykonawców, którzy w tragicznych okolicznościach ponieśli śmierć, nim zdążyli udowodnić światu (a nie tylko chłopakowi, który skompilował dla niej kasetę), jacy są genialni.

Robin nie chciał, żeby Julia cokolwiek udawała. Chciał, żeby była sobą. Profesor Julii od gender studies prawdopodobnie dostałaby zawału, gdyby się dowiedziała, że Julia wprawdzie w końcu postanowiła być sobą, ale stało się tak tylko dlatego, że znalazła chłopaka, który też tego chciał.

– Robin – szepnęła w chłodny poranek, bo ubóstwiała wymawiać jego imię. – Robin.

Skończył dwadzieścia dwa lata, był szczupły i wysoki, imponował bicepsami, które wypracował nie na siłowni, ale nosząc ciężkie tace z chlebem w piekarni ojca. Miał ciemnobrązowe, przechodzące w czerń włosy jak Bon Jovi i oczy niebieskie jak u psów husky. Kiedy patrzył na Julię, czuła dziwne łaskotanie w miejscu, którego nie potrafiła nazwać.

Miała przed Robinem kilku chłopaków. Zwykle byli od niej starsi, podobnie jak Robin – chociaż żaden z nich nie był

dojrzały. Uroda Julii nie peszyła ich, ponieważ mieli samochody i kieszenie pełne pieniędzy. Ojciec ostrzegał Julię, że tym chłopakom zależy tylko na jednym. Nie rozumiał, że Julii też na tym zależało.

Druga baza. To najdalszy punkt, do jakiego kiedykolwiek się posunęła, chyba że jest osobna nazwa na miłe pieszczoty (może shortstop?). Brent Lockwood miał szesnaście lat (prawie siedemnaście), a Julia piętnaście, no, bliżej czternastu. Poprosił jej ojca o pozwolenie na randkę z Julią, na co pan Carroll poradził mu, żeby się ostrzygł, znalazł pracę i wtedy ponownie zjawił się w tym domu.

To, że Brent kilka dni później pojawił się ostrzyżony na rekruta i w fartuchu z McDonalda, zaskoczyło jej ojca, ucieszyło matkę i wywołało atak śmiechu u młodszych sióstr. Natomiast Julia była wściekła, jako że u Brenta najbardziej jej się podobały jego włosy. Od tamtej pory zapach grillowanego mięsa wgryzał się w skórę prawie na zero ogolonej czaszki. Trzeba przy tym pamiętać, że Julia była wegetarianką. W efekcie chodzenie z Brentem przypominało mało zabawną wariację na temat słynnego eksperymentu Pawłowa.

Ale mimo to nadal próbowała na przykład na tylnym siedzeniu samochodu Brenta czy na kanapie w salonie. Brent był przystojny, wszyscy wiedzieli, że miał mnóstwo dziewczyn, więc Julia uznała to za wyjątkową okazję pozbycia się dziewictwa. Rozpaczliwie chciała być wyrafinowaną młodą kobietą, za którą wszyscy ją uważali, czyli taką, która doskonale wie, jak postępować

z chłopakami, doświadczoną, zblazowaną, piękną, potrafiącą owijać mężczyzn wokół małego palca.

Ale Brent był w niej szczerze zakochany i przepełniony czystymi uczuciami, dlatego, choć oczywiście marzył o spełnieniu, ze wszystkich sił starał się być delikatny i nie śpieszył się, co w połączeniu z jego tłustą od frytek skórą było koszmarnie nudne.

Robin Clark pod żadnym względem nie był nudny. Naprawdę ładnie pachniał igliwiem sosnowym pomieszanym z całkiem przyjemną nutą świeżego pieczywa. Był pięknie opalony dzięki temu, że przez okrągły rok jeździł na rowerze i chodził na piesze wycieczki. Patrzył Julii w oczy, kiedy coś do niego mówiła, i nie próbował rozwiązywać jej problemów, tylko po prostu słuchał. Śmiał się z jej dowcipów, nawet tych kiepskich, no, szczególnie tych kiepskich. Potrafił też marzyć. Chciał być artystą, po prawdzie już nim był. (Praca w piekarni była tylko tymczasowym zajęciem). Julia widziała kilka jego dzieł. Łagodne wygięcie szyi jelenia pijącego wodę z górskiego potoku. Szalone czerwienie i oranże wschodu słońca.

Jego ręka delikatnie spoczywająca na jej biodrze.

Nim odważył się na ten gest, naszkicował go na serwetce i pokazał Julii, gdy popijali herbatę w klubie studenckim. Powiedział jej, że przedstawił na rysunku to, co chciałby zrobić. Kiedy wstała, poczuła, że kolana ma jak z waty. Dłonie jej się spociły. Sama perspektywa tego, co może się zdarzyć, przyprawiła ją o taki zawrót głowy, że kiedy rzeczywiście objął ją w talii, aż ją przeszedł dreszcz.

– Zaraz cię pocałuję – szepnął jej prosto do ucha, nim to zrobił.

Julia wyjęła rękę z torebki. Furgonetka schroniska dla bezdomnych, do którego zgłosiła się jako wolontariuszka, stała zaparkowana na skrzyżowaniu Hull i Washington, w miejscu nie wiedzieć czemu nazywanym Hot Corner. Ludzie już ustawili się w kolejce po śniadanie. Było ich co najmniej ze trzydziestu, przeważali mężczyźni, kobiet zjawiło się tylko kilka. Przesuwali się, szurając nogami, ze spuszczonymi głowami i z rękami w kieszeniach. To oczywiste, że nienawidzili korzystać z pomocy organizacji charytatywnej, ale nie mogli się bez niej obejść, więc byli skazani na stanie w kolejce o brzasku, żeby spożyć chociaż jeden gorący posiłek w ciągu dnia.

– Dzień dobry! – zawołała Candice Bender, która rozdawała aluminiowe tacki z jajecznicą, bekonem, kaszą kukurydzianą i grzanką.

Natomiast każdy musiał sam nalać sobie kawy z wielkiego termosu umieszczonego w otwartych drzwiach furgonetki.

– Przepraszam za spóźnienie. – Julia wcale się nie spóźniła, ale miała zwyczaj rozpoczynania rozmowy od takich czy innych przeprosin. Wzięła z furgonetki stos koców, podeszła do ludzi stojących w kolejce i zorientowała się, że jednej osoby brakuje, dlatego spytała: – Gdzie jest Mona Bez Nazwiska?

Candice wzruszyła ramionami.

Julia uważniej przyjrzała się ludziom w kolejce. Jej lęk rósł w postępie geometrycznym, kiedy spoglądała na kolejne

twarze.

– Nie widzisz jej? – spytała Candice.

Julia pokręciła głową. Wystarczająco długo pomagała w schronisku, by wiedzieć, że ludzie zmieniają miejsce pobytu, ale nie potrafiła powstrzymać ponurych myśli, które zaczęły jej się kłębić w głowie.

Mona była młoda, ledwie kilka miesięcy starsza od Julii. W porównaniu z innymi bezdomnymi była zadbana, częściej się kąpała, ładniej się ubierała, bo nie wydawała wszystkich pieniędzy na narkotyki. W dniu osiemnastych urodzin straciła prawo do mieszkania u rodziny zastępczej i skończyła tam, gdzie kończą niektóre dziewczyny, żeby przeżyć. Kiedy Julia zapytała ją o nazwisko, Mona z wyzywającą miną oświadczyła:

– Nie mam nazwiska, ty suko.

– Czyli Mona Bez Nazwiska – powiedziała Julia, bo była w złym humorze i miała lekkiego kaca po zorganizowanej ad hoc imprezie z alkoholem i serowymi krakersami. I tak się stało, że ku jej wielkiemu zażenowaniu ten przydomek się przyjął.

– Nie było jej tu wczoraj wieczorem – powiedziała jedna z kobiet, wziąwszy czysty koc.

– Kiedy widziałaś ją ostatni raz? – spytała Julia.

– Skąd mam wiedzieć, do cholery?

Nie było tu miejsca na wersal czy choćby elementarną życzliwość. Myślały tylko o sobie, inne kobiety traktowały jak konkurentki, dlatego na przykład rozsiewały plotki. Przypominały w tym Julii uczennice szkoły średniej,

ponieważ jak tamte przypinały sobie nawzajem takie same łatki: „dziwka”, „pupilka”, „lizuska”, „porządna dziewczyna”, „suka”, „kujonka”. Mona została uznana za sukę, bo była ładna. Wciąż miała wszystkie zęby, malowała się, nie wyglądała na bezdomną. Delilah uważano za dziwkę, bo była starsza i bardziej doświadczona. No i naprawdę była dziwką.

Obecnie grupa liczyła osiem kobiet. Julia wiedziała, że rodzące się w jej wyobraźni ponure scenariusze o życiu bezdomnych kobiet, w przeciwieństwie do scenariuszy dotyczących porwanej Beatrice Oliver, są aż nadto prawdziwe. Prostytucja. Narkotyki. Głód. Choroba. Strach. Samotność. Bo Julia szybko zrozumiała, że większość ludzi bezdomnych jest niezwykle, przejmująco, rozpaczliwie samotna.

– Widziałam, jak Mona szła do lasu – powiedziała Delilah. – Wczoraj koło dziesiątej, no, może jedenastej wieczorem. Tuż przedtem zanim spadł deszcz.

Julia skinęła głową na znak, że usłyszała.

Delilah budziła lęk, bo była nieprzewidywalna, potrafiła krzyczeć, płakać, mamrotać pod nosem lub śmiać się tak głośno, że aż dzwoniło w uszach. Była narkomanką i żyła na ulicy dłużej, niż Julia pracowała jako wolontariuszka w schronisku. Delilah trzymała w kieszeni zdjęcia swoich dorosłych dzieci i nosiła komplet strzykawek, których nikomu nie pożyczała. W ciągu ostatnich czterech lat Julia ukończyła szkołę średnią, dostała się na uczelnię, z wyróżnieniem ukończyła pierwszy rok studiów

i awansowała na redaktora w dziale dłuższych artykułów w *Red & Black*.

W tym czasie Delilah była wielokrotnie obrabiana, czyli okradana. W bójce straciła przednie zęby, włosy wychodziły jej garściami z powodu złego odżywiania, na ciele miała upiorne fioletowe zmiany skórne.

AIDS, pomyślała Julia, chociaż nikt nie wymawiał tego słowa na głos, ponieważ AIDS oznaczał wyrok śmierci.

– W lesie żyje grupka bezdomnych – wyjaśniła Candice, spojrzawszy na Julię. – Pojechałam tam wczoraj, żeby zobaczyć, czy czegoś nie potrzebują, ale najwyraźniej wynieśli się tam, bo uznali, że to zabawne, a nie z powodu jakichś tragicznych okoliczności.

Julia dała koc mężczyźnie w wojskowym mundurze polowym. Na czarnej bejsbolówce widniał napis:

Wietnam. Zaginiony w akcji. Nigdy nie zapomnimy.

– Z własnej woli to wybrała? – zwróciła się Julia do Candice. – Zrobiła sobie biwak? – W tym tygodniu Robin wyjechał pod namiot z rodzicami i rodzeństwem. Nie poprosił Julii, żeby mu towarzyszyła, ale tylko dlatego, że to dziwaczne spędzać wspólnie noce z chłopakiem w obecności jego rodziców. – Mona jakoś mi nie wygląda na miłośniczkę biwaków.

– Zdaniem szeryfa tworzą sektę. – Candice przesadnie zmarszczyła brwi. Podobnie jak matka Julii, była kiedyś hipiską i ze zdrowym sceptycyzmem traktowała wszelką władzę. – Wszyscy są mniej więcej w twoim wieku, może trochę starsi. Według mnie to, co robią, bardziej

przypomina życie w komunie. Identycznie się ubierają. Identycznie mówią. Identycznie się zachowują. Prawdziwy *Patty Duke Show*.

Julia powstrzymała się przed wzruszeniem ramionami. Raczej jak *Charles Manson Show*, pomyślała.

– Dlaczego Mona miałaby do nich dołączyć?

– A dlaczego nie? – Candice zakończyła wydawanie posiłków i wzięła się do koców. – Zamierzają, o ile można im wierzyć, dotrzeć Szlakiem Appalachów do góry Katahdin. Ale według mnie to tylko pretekst, żeby przestać się myć i parzyć się jak króliki.

– Jestem za! – wrzasnął weteran wojny wietnamskiej.

– Gdzie rozbili obóz? – spytała Julia.

– Zaraz za Wishing Rock – powiedziała Candice.

Czyli daleko od miejsca, gdzie w tym tygodniu Robin rozbił namiot razem ze swoimi rodzicami i rodzeństwem.

– Co o tym myślisz? – spytała Candice. Była emerytowaną nauczycielką i nadal pragnęła kształtować młode umysły. – Widzisz siebie, jak opuszczasz dom i rezygnujesz ze wszystkich swoich dóbr doczesnych, by żyć na łonie natury?

Julia wzruszyła ramionami, chociaż łatwiej byłoby jej wyobrazić siebie, jak chodzi po Księżycu.

– Wolne duchy, prawda? I muszę przyznać, że trochę to romantyczne.

Candice się uśmiechnęła. Widocznie usłyszała właściwą odpowiedź.

Julia wyjęła z pojemnika torbę na śmieci, po czym zaczęła zbierać puste tacki aluminiowe i kubeczki po kawie. Nie

wiedziała, dlaczego nie ma oporów przed sprzątaniem po tych ludziach, kiedy podniesienie brudnej skarpetki pozostawionej na schodach przez jedną z jej leniwych młodszych sióstr doprowadza ją do furii.

Zaczęła pracować w schronisku jako wolontariuszka niedługo po tym, jak skończyła piętnaście lat. Było lato, nudziła się, nawet nie miała pod ręką żadnych książek, które chciałaby przeczytać. A młodsze siostry doprowadzały ją do szału. Miała dosyć pilnowania dzieci. Miała dosyć czekania, aż dorośnie.

– Przekonajmy się, czy dysponujesz tym, co niezbędne, żeby temu sprostać – powiedział ojciec, gdy wiózł ją autem do schroniska.

– To znaczy czym? – piekliła się Julia, bo nie wiedziała, o co chodzi ojcu, który wiózł ją do gorszej części miasta, gdzie będzie musiała usługiwać śmierdzącym i niezrównoważonym psychicznie bezdomnym.

Schronisko miało być dla niej lekcją życia, jak wtedy, kiedy rodzice kazali córkom wybrać ze swoich rzeczy po jednym prezencie gwiazdkowym dla dzieci z domu dziecka. Oczywiście nie mogły to być skarpetki czy bielizna, tylko naprawdę coś. Julia nienawidziła życiowych lekcji. Nie znosiła, kiedy zmuszano ją do czegokolwiek. Nienawidziła, kiedy podstępnie kazano jej wsiąść do samochodu z tatą, który powiedział, że sprawdzą, jak się mają małe pieski. Była uparta (jak jej matka, mówił ojciec) i krnąbrna (jak jej ojciec, mówiła matka), zadufana w sobie (jak jej rodzice, mówiła babka) i apodyktyczna (jak babcia, mówiły jej

siostry), i właśnie tylko dlatego zdołała wytrzymać w schronisku przez kilka pierwszych miesięcy.

Pokażę mu, że mnie na to stać! – powtarzała sobie w duchu, gotując, sprzątając i piorąc z takim zawzięciem, że jej matka ze złości chodziła z zaciśniętymi ustami.

– Julia pozmywała naczynia? – Głos miała ostry jak dzwonek u roweru. – Julia Carroll, najstarsza z mieszkających w tym domu dziewcząt?

Trudno wyjaśnić, dlaczego wytrwała w tym wolontariacie. Delikatnie mówiąc, nie przepadała za praniem brudnych ubrań ani szorowaniem ubikacji, a jednak dwa, trzy razy w tygodniu ściągała się z łóżka o siódmej rano i szła do dzielnicy biedoty albo do schroniska przy Prince Avenue, żeby rozdawać jedzenie lub koce lub sprzątać po narkomanach, chorych psychicznie i innych zagubionych duszach zaklętych w wyniszczonych i często jakże ohydnych ciałach.

A właśnie, wygląd... Z uwagi na jej wygląd wszyscy chcieli, żeby pomagała im właśnie Julia.

Potrzebna była ludziom, którzy korzystali z pomocy schroniska.

– Mogłabyś dokończyć za mnie, mała? – spytała Candice. – Mam spotkanie z burmistrzem.

– Naturalnie. – Julia wrzuciła torbę ze śmieciami do furgonetki, po czym wzięła kilka długopisów i plik papierów z przedniego siedzenia. Były to formularze, które należało wypełnić, by inwalida lub weteran wojenny dostał zasiłek, by chory otrzymał świadczenia lekarskie.

Przez kilka najbliższych godzin Julia zajmowała się pracą papierkową, dzwoniła do agencji stanowych z cuchnącej budki telefonicznej i rozmawiała z bezdomnymi o tym, co zamierzają zrobić ze swoim życiem. Wielu przyjaciół Julii drwiło z jej pracy wolontariuszki. Na przykład twierdzili, że bezdomni są śmierdzącymi leniami i dlatego właśnie stali się bezdomnymi. Nie rozumieli, że ludzie jakże często kończą na ulicy nie z powodu poważnych ułomności charakteru, ale w wyniku serii na pozór drobnych błędnych decyzji, na przykład wkurzenia niewłaściwego gliniarza, przestawania z nieodpowiednimi ludźmi, niestawienia się na spotkanie w szkole, w sprawie pracy lub z kuratorem sądowym, bo byli zbyt wyczerpani, żeby pamiętać o nastawieniu budzika.

Wprawdzie nie była psychiatrą, ale szybko się zorientowała, że wielu bezdomnych ma problemy ze zdrowiem psychicznym, na przykład łagodną formę paranoi, depresję czy urojenia.

– Reagan – powiedziała matka, kiedy Julia zwróciła jej na to uwagę. – Czy zastanowił się, co się stanie, kiedy zmniejszy pomoc władz federalnych dla szpitali psychiatrycznych? Teraz byli pacjenci albo żyją na ulicy, albo siedzą w więzieniu.

Beatrice Oliver. Dziewczyna, która poszła po lody i już nikt nigdy jej nie zobaczył. Była leczona na depresję, czyli chorobę psychiczną. Julia wiedziała o tym z doniesień agencji prasowych. Associated Press wysłała reportera, żeby porozmawiał z rodzicami, którzy rozpaczliwie szukali

córki (a raczej jej zwłok, chociaż nikt nie powiedział tego na głos), i matka przyznała, że Beatrice leczyła się kiedyś na depresję.

Julia poszła do psychiatry na pierwszym roku studiów. Nikomu o tym nie powiedziała, ponieważ wstydziła się przyznać, że życie z dala od rodziców i sióstr nie było tak łatwe, jak to sobie wyobrażała. Pod koniec sesji lekarz zaczął ziewać, co bardziej pomogło Julii, niż jego mało konkretne i najpewniej dawane na odczepnego rady (dołączyć do grupy terapeutycznej – spróbować zająć się czymś nowym – zmienić fryzurę – częściej się uśmiechać), bo uświadomiła sobie, że jej problemy są po prostu prozaiczne. Inni mieszkańcy kampusu, na pozór mający wszystko poukładane w głowach, zapewne cierpią na podobne i mało oryginalne fobie.

Ale zadała sobie pytanie: gdyby pewnego dnia zniknęła albo, Boże broń, ją porwano, czy reporter dowiedziałby się, że poszła na rozmowę do psychiatry? I czy wizyta u psychiatry świadczy, że cierpi na chorobę psychiczną?

– Zabrali ją! – Ostry głos Delilah wyrwał Julię z zamyślenia. – Zapamiętaj sobie moje słowa, siostro.

Julia uniosła wzrok znad listu, który Delilah pisała do córki. Dziewczyna nigdy nie odpisywała, co wywoływało większe rozczarowanie u Julii niż u Delilah.

– Zabrali ją – powtórzyła. – Monę Bez Nazwiska. Zabrał ją jakiś facet.

– Och – bąknęła Julia, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Nie tak zwyczajnie – ciągnęła Delilah. – Zabrał ją jak... – Delilah chrząknęła, wyciągając ręce, jakby chciała kogoś chwycić wbrew jego woli.

Julia objęła się, jakby jakiś tajemniczy mężczyzna chciał złapać ją.

– Szła ulicą – mówiła Delilah. – Przechodziła obok starego samochodu, kiedy zatrzymała się czarna furgonetka, otworzyły się drzwi i jakiś facet, wielki, biały facet wyciągnął ręce i... – Znów wykonała gest chwytania.

Julia potarła ramiona, bo dostała gęsiej skórki. Ujrzała, jak nadjeżdża czarna furgonetka, jak otwierają się drzwi, jak z ciemności wyłania się starannie ostrzyżony, typowo amerykański chłopak. Palce u wyciągniętych rąk przemieniły się w szpony. Wykrzywił twarz tak, że ukazały się ostre jak brzytwa zęby.

– Posłuchaj mnie, dziewczyno. – Głos Delilah przypominał groźny pomruk. – Porwali ją. Każdego z nas mogą porwać. Ciebie też.

Julia odłożyła długopis i utkwiła wzrok w kaprawych, żółtych oczach Delilah. Heroina. Do tego służyły igły w jej zestawie strzykawek. Mięsak Kaposiego, stąd te zmiany skórne. Julia napisała dla *Red & Black* kilka artykułów na temat HIV i AIDS. Wiedziała, że ten rzadki rodzaj raka może rozprzestrzenić się na narządy wewnętrzne i spowodować zmiany w mózgu. Delilah nigdy nie była zupełnie normalna. Czy opowiada swoje zwidy lub sny? Wydawało się mało prawdopodobne, by ktoś mógł zostać porwany z ulicy w samym centrum Athens.

Ale z drugiej strony równie mało prawdopodobne wydawało się to, że może zostać porwana dziewczyna, która idzie do pobliskiego sklepu po lody dla taty.

Nie tylko porwana.

Uwięziona.

– Wcześniej mówiłaś, że widziałaś, jak Mona idzie do lasu – przypomniała delikatnie Julia.

– Opony furgonetki były brudne. Oblepione trawą i błotem. Założę się o swój prawy cycek, że wywiózł ją do lasu. – Nachyliła się do Julii, która poczuła nieświeży oddech i zapach nikotyny. – Mężczyźni wyczyniają różne rzeczy z dziewczynami, moja droga. Takie rzeczy, o których wolałabyś nie wiedzieć.

Julia poczuła, że zjeżyły jej się wszystkie włoski na karku.

– Ha! – Delilah się roześmiała jak zawsze, kiedy udało jej się kogoś sprowokować. – Ha! – Złapała się za brzuch. Z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk, ale odrzuciła głowę do tyłu, jakby było jej bardzo wesoło. Bezzębne dziąsła błysnęły w promieniach słońca.

Julia potarła kark.

Beatrice Oliver. Mona Bez Nazwiska. Mieszkały w odległości trzydziestu kilometrów od siebie. Obie były ładne. Obie były blondynkami i miały mniej więcej tyle samo lat. Obie szły wieczorem ulicą. Czy je obie wypatrzył jakiś zły człowiek i postanowił porwać?

Ten sam zły człowiek? Dwóch różnych złych ludzi? Czy obaj ci mężczyźni są teraz w domach ze swoimi rodzinami? Czy szykują śniadanie dla dzieci albo golą się lub całują

żony na do widzenia, cały czas uśmiechając się do siebie, rozważając, co niedługo zrobią porwanym dziewczynom?

– Ej! – Delilah trąciła Julię w ramię. – Zamierzasz to skończyć? Nie mogę tu siedzieć cały dzień.

Julia wzięła długopis i skończyła pisać list do córki Delilah, jak zwykle dołączając pozdrowienia, chociaż matka tej dziewczyny nigdy jej o to nie prosiła.

Godzina 10.42
Lipscomb Hall, Uniwersytet Georgii, Athens

Niespełna trzydzieści minut po powrocie do akademika Julię obudziło uporczywe dzwonienie pagera. Po omacku sięgnęła do torby, żeby wyłączyć irytujący sygnał, a dłoń zaplątała się w żółtą apaszkę, którą miała podrzucić siostrze do domu. W końcu znalazła przycisk i wyłączyła brzęczenie.

Przewróciła się na wznak i utkwiła wzrok w suficie. Serce tak mocno waliło, że czuła je niemal w gardle. Przytknęła palce do szyi i zaczęła mierzyć puls. Zaczekała, aż zwolnił do normalnej wartości.

Znów jej się przyśniła Beatrice Oliver, ale tym razem nie obserwowała jej z daleka, tylko nią była. Rozmawiała ze swoim ojcem – ojcem Julii – o jego bolącym zębie, potem zaproponowała, że pójdzie do sklepu po lody, a matka dała jej pieniądze. Potem Julia szła ulicą, lecz teraz już nie była Beatrice Oliver, bo nagle przemieniła się w Monę Bez Nazwiska. Było ciemno, w powietrzu panował ziąb. Zobaczyła stary samochód, a potem spocona dłoń

mężczyzny zacisnęła się na jej ustach. Porywacz zaciągnął ją do ciemnego, budzącego grozę wnętrza furgonetki.

Julia uniosła dłoń do ust, zastanawiając się, jakie to uczucie, gdy ktoś nagle nas ucisza. Jednak gdy przesunęła palcami po wargach, dotyk przemienił się w muśnięcia i zanim się zorientowała, zapomniała o spoconym, złym mężczyźnie, bo całą jej uwagę pochłonął Robin. Jego miękkie wargi na jej wargach. Zdumiewająco szorstki policzek ocierający się o jej szyję. Jego duże dłonie, czule obejmujące jej piersi, i co się wtedy z nią działo. Bo Robin umiał ją pieścić. Nie obłapiał jej, nie wyginał, nie rzucał się na nią jak bezdomny pies. Kochał się z nią.

Będzie się z nią kochał, postanowiła Julia. Jej matka, która lubiła szczerze i bez skrępowania rozmawiać o wszystkim, od seksu po narkotyki, powiedziała Julii, że to nic złego mieć intymne kontakty z każdym, z kim tylko się chce. Ważne, by mieć pewność, że naprawdę się tego chce.

Julia naprawdę chciała się kochać z Robinem Clarkiem.

Nie żeby potrzebowała pozwolenia matki.

Julia przekręciła się na bok. Nancy Griggs, jej współlokatorka, dwadzieścia minut temu wyszła na zajęcia garncarstwa. Julia udawała, że śpi. Okropnie się pokłóciły, bo Julia zrobiła Nancy kazanie, żeby nie przesiadywała w barach do późna i poprosiła kogoś godnego zaufania, żeby ją odprowadził do akademika.

Nancy wznosiła oczy ku niebu, co wprawiło Julię w wojowniczy nastrój, a to nigdy nie wróżyło nic dobrego. Krzycząc na cały głos na swoją najlepszą przyjaciółkę, Julia

zdawała sobie sprawę, że zachowuje się jak matka, jej rodzona matka, ale po raz pierwszy w życiu było jej to obojętne. Beatrice Oliver prawdopodobnie przydałoby się ostre kazanie na temat tego, żeby uważać, żeby nie dać się porwać na ulicy zdeprawowanemu szaleńcowi, kiedy późnym wieczorem pójdzie po lody dla ojca.

– Daj mi spokój – powiedziała jedynie Nancy. – To, że wreszcie masz chłopaka, nie znaczy, że cokolwiek wiesz.

Bo Nancy tak naprawdę była wściekła na nią właśnie z tego powodu. Julia nigdy wcześniej nie była zakochana (czy teraz jest zakochana?). Nigdy nie miała chłopaka na stałe (Robin był jej chłopakiem na stałe). Podczas trwającej blisko piętnaście lat przyjaźni to Nancy zawsze miała chłopaków i robiła takie rzeczy, jakie Julia znała tylko z książek.

Przypomniało jej się jedno z powiedzeń babki: „Twoja skakanka przemieniła się w smycz”.

– Robin! – Julia usiadła na łóżku, jej serce znów waliło, do ust napłynęła ślina.

Wyjęła pager z torebki. Może to Robin? Może właśnie stoi w budce telefonicznej w lesie i czeka na telefon od niej? Przycisnęła guzik, żeby wyświetlił się numer. Julia miała ochotę cisnąć pagerem przez pokój. To nie Robin, tylko prawdopodobnie jedna z beznadziejnych siostrzyczek zrobiła jej głupi kawał.

– Bardzo śmieszne – mruknęła, przypuszczając, że o tej porze z pewnością napisała to średnia siostra, bo grzeczna najmłodsza siostra nigdy nie opuszczała lekcji.

Spuściła nogi z łóżka i spojrzała na bałagan panujący w części pokoju należącej do Nancy. Razem kupiły w domu towarowym Sears pościel, wybrały zasłony i plakaty, żeby ozdobić pokój. Przeznaczyły na to pieniądze, które zarobiły, pilnując dzieci. Julia pamiętała, jakie się czuły dorosłe – same robiły zakupy! Wydawały ciężko zarobione pieniądze! Troszczyły się o siebie jak osoby dorosłe! A potem Julia wróciła do domu i zjadła chińskie danie na wynos, za które zapłacili jej rodzice, uprała ubrania, które jej kupili, w pralce należącej do nich. I poczuła się okropnie, bo naprawdę nie miała żadnych możliwości, żeby sama się utrzymywać.

Przeszła dwa kroki, usiadła za biurkiem i utkwiła wzrok w kartce papieru, na której zaczęła pisać list miłosny do Robina. Zacytowała piosenkę Madonny o całowaniu się w Paryżu i trzymaniu się za ręce w Rzymie.

Czy naprawdę powinna się zdecydować na seks z nim? Czy Robin był tym właściwym mężczyzną? Rok temu Julia oddałaby swoje dziewictwo niemal pierwszemu chłopakowi z brzegu. Dlaczego nagle stało się takie ważne, z kim zrobi to pierwszy raz?

Ołówkiem powiodła po słowach piosenki:

Całować Cię w Paryżu...

Teraz nie była najlepsza pora na pisanie listu miłosnego, szczególnie że Robin nie wróci przed końcem tygodnia. Nie będzie się zachowywała jak głupie dziewczęta, które dla chłopaka rezygnują ze swego życia. Powinna się uczyć do trudnego egzaminu końcowego z psychologii. Powinna

jeszcze raz przeczytać swój referat o Spenserze na południowe zajęcia z profesorem Edwardsem. Powinna popracować nad tym, jak sprzedać swój pomysł na artykuł w *Red & Black,* bo minęło już pięć tygodni od porwania Beatrice Oliver i Julii trudno będzie przekonać Grega, Lionela i pana Hannaha, że sprawa nadal jest aktualna.

Postukała się ołówkiem w usta. Utkwiła wzrok w zdjęcia przyczepione do ściany przedstawiające Nancy filmującą ptaka, siostry nieporadnie robiące gwiazdę w parku, rodziców tańczących na przyjęciu (jakiś wolny taniec, ale wyglądało to romantycznie, a nie dziwacznie), ich żółwia Herschela Walkera (niedoceniony prezent na Dzień Matki), jak wygrzewa się na ganku przed domem.

Śliczna młoda dziewczyna szła ulicą, gdy wtem...

Nagle Julię przeszedł dreszcz. Czy Beatrice Oliver też była dziewicą? Czy ten, kto ją porwał (i ją więził), był pierwszym mężczyzną, z którym odbyła stosunek?

I również ostatnim?

– Zamknij się! – krzyknęła jakaś dziewczyna na korytarzu. Jej południowy akcent z Alabamy tłumiły zamknięte, drewniane drzwi. Mówiła tak, jakby się z kimś przekomarzała, i Julia z miejsca poczuła do niej antypatię, chociaż nigdy jej nie widziała na oczy. – Nie, ty to zrobiłeś, głuptasie.

Julia podskoczyła na krześle, kiedy zatrzęsły się drzwi, bo ktoś walił w nie pięścią.

– Jest tam kto? – zawołała dziewczyna z Alabamy.

Akademik nie był koedukacyjny, więc Julia nie zarzuciła szlafroka, chociaż miała na sobie tylko bawełnianą koszulkę i bieliznę. Pożałowała tego, kiedy stwierdziła, że nigdy wcześniej nie widziała tej dziewczyny.

Nie powstrzymało to jej przed wtargnięciem do pokoju.

– Ale bałagan. Należałoby tu posprzątać. – Dziewczyna z Alabamy zajrzała pod łóżko Nancy, a potem za biurko. Następnie skierowała się do szafy.

– Przepraszam – odezwała się Julia. – Czy my się znamy?

– Jestem przyjaciółką Nancy. – Dziewczyna otworzyła szafę Nancy. – Powiedziała, że mogę pożyczyć jej... O, tu jest. – Wyciągnęła skórzaną torbę na ramię, przy okazji przewracając stos butów. Odwróciła się i zmierzyła Julię od stóp do głów. – Ładne skarpetki.

Wyszła z miną pełną dezaprobaty.

Julia spojrzała na swoje skarpetki. Były szare z wyszytymi czarno-brązowymi jamnikami. Miała ochotę wybiec na korytarz i spytać dziewczynę, co jej się nie spodobało w jej skarpetkach. Ale wiedziała, że nie chodzi o skarpetki, tylko o pokazanie Julii, gdzie jej miejsce.

Słyszała o takich gierkach, ale nie miała pojęcia, jak je rozgrywać.

Spojrzała na zegarek. Seminarium o Spenserze zaczynało się w południe. Musiała najpierw podrzucić siostrze żółtą apaszkę i wziąć wydruki, które matka obiecała zostawić na kuchennym stole. Słońce świeciło. Było rześko. Może przejażdżka na rowerze sprawi, że pozbędzie się choćby części złych myśli.

Włożyła dżinsy, zarzuciła sweter na bawełnianą koszulkę, złapała torebkę i spakowała torbę na książki. Gdy zamknęła drzwi na klucz, pomyślała, że powinna umyć zęby i się uczesać, ale może to zrobić w domu. Znaczy się w domu rodziców, bo już nie mieszkała na Boulevard.

Przed akademikiem chwilę zmagała się z zardzewiałą kłódką przy rowerze, w której z trudem obracał się kluczyk. Poranna mgła zupełnie opadła, nim Julia przejechała pod czarnym żelaznym łukiem, który oznaczał wejście do Północnego Kampusu. Chyba powinna wziąć kurtkę, ale nie zmarznie, jeśli będzie jechała w słońcu. Lawirowała między studentami idącymi środkiem Broad Street. Byli w pogodnym nastroju. Zima nie odpuszczała, należało się cieszyć z każdego słonecznego dnia.

Odległość między akademikiem a domem rodziców Julii można było pokonać w niespełna piętnaście minut, ale zawsze miała wrażenie, że jazda do domu zabiera jej więcej czasu niż powrót. Kiedy jechała wysadzonymi drzewami ulicami swego dzieciństwa, zawsze ogarniała ją nostalgia. Uniosła się na siodełku, zjeżdżając na Boulevard. Dostojne wiktoriańskie i parterowe domy w ranczerskim stylu były jej tak dobrze znane jak własnych pięć palców. Mieszkali tu głównie profesorowie, a matka twierdziła, że niektórzy wprowadzili się tu, zanim jeszcze Jezus zgubił swoje sandały.

Skinęła głową pani Carter, która wciąż trzymała pod ręką wąż ogrodowy na wypadek, gdyby jakiś dzieciak spróbował sobie skrócić drogę i przebiec przez jej szeroki ogród. Julia

przejechała na drugą stronę, żeby uniknąć spotkania z ujadającym springer spanielem państwa Bartonów, który bez względu na to, ile razy był bliski samouduszenia, zawsze kiedy ktoś szedł ulicą, rzucał się ku intruzowi, zapominając, że jest przywiązany łańcuchem do drzewa.

Skręciła na podjazd przed żółtym wiktoriańskim domem rodziców. Rower Pepper stał oparty o ganek frontowy, co jeszcze o niczym nie świadczyło, ponieważ średnia siostra Julii miała szesnaście lat i masę przyjaciół, którzy mogli ją podrzucić do szkoły samochodem. Nie było widać różowego roweru najmłodszej siostry, ponieważ wzorowa Sweetpea była zawsze tam, gdzie rodzice się spodziewali, że będzie.

Sweetpea. Słodki groszek. Najmłodsza siostra Julii ani nie była słodka, ani nie przypominała z wyglądu groszku (już bardziej zaostrzoną tyczkę). Zyskała ten przydomek, ponieważ tamtego lata, kiedy skończyła osiem lat, odmówiła jedzenia czegokolwiek poza słodkim groszkiem. Była to z lubością opowiadana historia (podobnie jak ta o Pepper, czyli o pannie Pieprz, bo babcia powiedziała, że ma „popieprzone włosy”), ale to Julia musiała przez całe lato otwierać kolejną puszkę groszku, kiedy smarkula domagała się go więcej. Nie wspominając już o tym, co się działo z groszkiem potem. Można by pomyśleć, że głupia smarkula zniknie, zostanie po niej tylko zielona kupa, ale nie, żyła sobie w najlepsze.

Julia poczuła wyrzuty sumienia. Powinna być milsza dla najmłodszej siostry, ale było to trudne, bo Sweetpea miała znacznie łatwiejsze od niej życie. Jakby w ciągu tych pięciu

lat między narodzinami Julii a Sweetpea rodzice tak opadli z sił, że z wielkich, niewzruszonych głazów przemienili się w małe otoczaki, które można bez trudu przeskoczyć. Naturalnie Julia kochała Sweetpea (ostatecznie były siostrami), ale czasami miała ochotę ją udusić (ostatecznie były siostrami).

Żeby złagodzić poczucie winy, przypomniała sobie sytuacje, gdy postępowały solidarnie. Na przykład podczas tych rzadkich momentów, kiedy ich rodzice naprawdę się pokłócili. Mowa o prawdziwych kłótniach, a nie o zaciekłych dyskusjach, w które rodzice wdawali się niemal na każdy temat. I podczas takiej prawdziwej kłótni we trzy spały w jednym łóżku, jakby miało je to ochronić przed podniesionymi głosami rodziców. Albo kiedy babcia powiedziała Pepper, że powinna zrzucić dziecięce sadełko, a Sweetpea nazwała ją zgorzkniałą staruchą. Albo kiedy Julię aresztowano po tym, jak pierwszy raz zapaliła trawkę, a siostry czuwały pod drzwiami jej sypialni, póki rodzice nie przestali na nią wrzeszczeć. Albo jak wszystkie płakały jak bobry, kiedy Karol i Diana brali ślub, bo to takie romantyczne darzyć się nawzajem aż taką miłością. Wszystkie siostry Carroll miały nadzieję, że je też czeka w życiu taka dozgonna miłość, a już najlepiej do bogatego księcia.

Te wspomnienia sprawiły, że Julię ogarnęła nostalgia, kiedy skierowała się w stronę domu. Wchodząc na ganek, zgrabnie przeskoczyła złamany stopień (jej matka od dawien dawna wrzeszczała na ojca, by go naprawił)

i ominęła doniczkę z uschniętymi krokusami (ojciec od dawien dawna wrzeszczał na matkę, by posadziła świeże kwiaty). Drzwi frontowe jak zwykle nie były zamknięte na klucz, a nikt nie miał pewności, gdzie on jest. Zresztą matka była święcie przekonana, że każdy normalny złodziej, zobaczywszy zniszczone meble w salonie, dojdzie do wniosku, że nie znajdzie tu nic, co warto ukraść.

Ojciec Julii był weterynarzem. Stale przynosił do domu zabłąkane zwierzęta, a kiedy matka ostro się postawiła i uniemożliwiła mu ten proceder, zaczęły je przynosić Julia oraz jej siostry. Okoliczni mieszkańcy z pewnym przekąsem mówili o żółtym wiktoriańskim domu, że to „rezydencja doktora Dolittle'a".

Jakby na dany znak pojawił się brązowy, pręgowany kot, którego właściciel był nieznany, i zaczął się ocierać o nogi Julii, kiedy odkładała torbę z książkami. Z kanapy dobiegło donośne szczekanie. Pan Peterson, okaleczony terier, powracał na niej do zdrowia, leżąc na wznak. Pani Crapabble, suka rasy golden labrador, która miała kłopoty z pamięcią, warowała na podłodze obok niego. Z oszklonej werandy dobiegało ciche przeżuwanie tukana rekonwalescenta.

– Dziewczynki, chciałem wam przedstawić señorę Szczypię Paluszki z rodziny *Ramphastidae* – powiedział ojciec, przedstawiając ptaka z zachowaniem wszelkich form dobrego wychowania, które rezerwował dla pacjentów.

– Ay, caramba – mruknęła matka, po czym na resztę wieczoru zniknęła w suterenie.

Julia poklepała psy, a potem skierowała się do kuchni, w której jak zwykle panował bałagan. Naczynia ze śniadania czekały, aż siostry wrócą ze szkoły do domu i je zmyją. To znaczy Sweetpea zacznie robić to tak wolno, że w końcu Pepper ją wyręczy. Nieznany jej pomarańczowy kot wskoczył na szafkę, co stanowiło jawne pogwałcenie jedynego zakazu matki wobec kotów. Julia wzięła go na ręce i postawiła na podłodze. Wprawdzie kot z powrotem wskoczył na blat, ale Julia i tak uznała, że zrobiła, co do niej należało.

Dostrzegła na kuchennym stole stos wydruków. Poprosiła matkę o wyszukanie artykułów o dziewczętach, które zaginęły w stanie Georgia w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy. Odręczny dopisek na górze pierwszej strony był tak starannie wykaligrafowany, jakby go zostawiła nauczycielka przedszkola. Czyli matka kazała jednej z młodszych bibliotekarek usiąść do czytnika mikrofisz.

Bibliotekarka napisała:

To artykuły o dziewczętach, o których odnalezieniu brak informacji w prasie.

Julia posmarowała banan masłem orzechowym, czytając pierwszy wydruk. Dwa miesiące temu *The Clayton News Daily* opublikował na pierwszej stronie artykuł o dziewczynie, która zniknęła z kampusu szkoły pomaturalnej. Zdjęcie było zbyt ciemne, by móc się zorientować, jak wyglądała zaginiona, ale z opisu wynikało, że była ładną brunetką.

Julia wzięła drugą kartkę. *The Statesboro Herald.* Kolejna zaginiona. Ostatni raz widziano ją w kinie. Wysportowana i atrakcyjna.

Następny artykuł był z *The News Observer.* Zaginioną dziewczynę ostatni raz widziano w pobliżu wesołego miasteczka w hrabstwie Fannin. Wysoka, z długimi, ciemnymi włosami, uderzająco piękna.

The Tri-County News napisał o zgłoszeniu zaginięcia dziewczyny z Eden Valley. Blond włosy, niebieskie oczy. Była królową piękności.

The Telegraph. Nagłówek:

Współlokatorka studentki z Mercer: Nigdy nie wróciła do domu.

W artykule zacytowano pastora:

Jest młodą, piękną, pobożną kobietą. Wszyscy modlimy się o jej powrót.

Ładna. Uderzająco piękna. Śliczna. Młoda.

Jak Beatrice Oliver.

Jak Mona Bez Nazwiska.

Dwóch ostatnich doniesień jeszcze nie zarejestrowano na mikrofiszach, ale z pewnością za kilka miesięcy trafią w takiej formie do archiwum. Julia sprawdziła, kiedy i gdzie doszło do opisywanych wydarzeń. Żadna z historii nie dotyczyła Athens, co z oczywistych powodów przyniosło jej ulgę, a także znaczyło, że nie przeoczyła niczego podczas codziennej lektury *Athens-Clarke Herald.*

Julia zebrała wydruki. Artykuły ją poruszyły. Czuła, że znów ma przyśpieszony puls. Wydawało jej się, że

w pomieszczeniu jest duszno, więc powachlowała się kartkami. Przed oczami migały jej zdjęcia zrozpaczonych rodziców, szkolne fotografie i nieupozowane fotki zrobione podczas letnich wakacji.

Tyle ładnych dziewcząt zaginęło albo padło ofiarą porwania. Albo zostało uwięzionych.

A może po prostu nie znaleziono ich zwłok.

Spomiędzy wydruków wypadła karta katalogowa, na której zobaczyła odręczne pismo matki. Matka nie strofowała Julii, że poprosiła o artykuły na tak mroczny temat, tylko podała datę i kwotę faktury za usługę. Dwadzieścia osiem stron wydruków po pięć centów za sztukę.

Julia wyjęła z torebki banknot jednodolarowy i dwie dwudziestopięciocentówki (irytujące, że jej matka dołoży wszelkich starań, by oddać jej resztę). Zostawiła pieniądze razem z fakturą na stole. Jej wzrok padł na dzisiejszą datę. Był czwarty marca. Wkrótce urodziny jej babki, więc znów sięgnęła do torebki i odszukała kartkę, którą kupiła, nim babka coś o niej powiedziała. Stwierdziła mianowicie, że „Julia wygląda, jakby nie mogła stracić ostatnich dwóch kilogramów nadwagi, której się nabawiła na pierwszym roku studiów”.

– Twierdzi, że jesteś gruba – powiedziała Sweetpea.

Julia położyła na stole zaklejoną kopertę. W kartce urodzinowej napisała kilka miłych, szczerych zdań. Tyle że już tych ciepłych uczuć nie czuła. Zastanawiała się, czy otworzyć kopertę nad parą i zmienić życzenia.

Ostatecznie zostawiła kartkę na stole, zastanawiając się nad tajemnicą ludzkich emocji. Może czuje się coś takiego, co ona teraz właśnie czuła, gdy mimo różnych przeciwności postąpi się właściwie? Tylko wielka szkoda, że nikt nigdy się o tym nie dowie.

Poszła do swojego pokoju, który był na parterze, ponieważ w gabinecie ojca na górze panował zbyt wielki bałagan, by można go było przenieść, kiedy na świecie pojawiła się Sweetpea. Stała na progu, czując się jak obca osoba, chociaż nic się tu nie zmieniło. Ściany nadal były liliowe. Nadal wisiały na nich plakaty gwiazd rocka: Indigo Girls, R.E.M. i Billy Idol na suficie, żeby właśnie jego widziała na samym końcu, kiedy wieczorem kładła się do łóżka. Zdjęcia szkolnych koleżanek nadal były wetknięte za ramę lustra nad toaletką. Pan Biggles nadal leżał na łóżku. Julia wzięła sfatygowanego pluszowego psa i pocałowała, po raz tysięczny przepraszając go w myślach za to, że przypadkiem go wyrzuciła w dniu, kiedy pakowała się na uczelnię. (Dzięki Bogu, że ojciec go uratował).

Pogładziła liniejące futro Pana Bigglesa. Biedaczysko dużo w życiu przecierpiał. Julia tak często na nim spała, że niemal całkiem go rozpłaszczyła. Sweetpea ostrzygła go po tym, jak niezupełnie przypadkowo polała go napojem marki Kool-Aid. Pepper przypaliła mu nos lokówką. Po tym incydencie Julia próbowała udawać, że to zabawne, gdy w środku cała umierała z rozpaczy.

Delikatnie odłożyła Pana Bigglesa na miejsce. Rękawem swetra starła kurz z brzydkiej niebieskiej lampy lava. Julia

doskonale wiedziała, że matka nie znosi tej lampy... dlatego ją tu zostawiła. Kiedy pomarańczowy kot wskoczył na łóżko, Julia przesunęła dłonią po jego grzbiecie i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że to drugi pomarańczowy kot. Prawa łapa była ogolona w miejscu, gdzie kiedyś miał założoną kroplówkę. Mruczenie kota przypominało dźwięk, jaki wydają zęby grzebienia wprawione w drgania.

Odszukała w torbie żółtą apaszkę i weszła po schodach do pokoju Pepper. Jak zwykle było tu tak, jakby przed chwilą eksplodowała w tym pomieszczeniu bomba. Ubrania zaścielały podłogę. Książki leżały otwarte grzbietami do góry („Grzech” – mówiła matka). Ściany miały ciemnoszary kolor, zasłony były prawie czarne. To, że pokój przypominał jaskinię, było zamierzone. To, że matka wściekała się, patrząc na to, też było zamierzone.

Julia uniosła dłoń do szyi. Wiele miesięcy temu pożyczyła złoty medalion, ale siostra zauważyła jego brak dopiero w ostatni piątek. Doszło do głośnej sprzeczki, podczas której Julia utrzymywała, że go nie wzięła, a potem do kolejnej głośnej sprzeczki, kiedy Pepper się zorientowała, że Julia ma medalion na szyi, tylko schowała go pod koszulą. Zamiast go oddać, Julia wybiegła z domu i trzasnęła drzwiami.

– Ukradłaś mój słomkowy kapelusz! – krzyknęła przez ramię, jakby kradzież medalionu była odwetem.

Dlaczego zachowała się tak dziecinnie? I dlaczego nie mogła zwyczajnie oddać medalionu? Przez wrodzoną próżność Pepper namiętnie gromadzącej rzeczy, które

wkładała, nawet jeśli w ogóle, to tylko raz, a potem o nich zapominała? Jak srebrne i czarne bransoletki. Czy duża czarna kokarda, która właściwie należała do Julii. Kilka T-shirtów rozdartych pod szyją w stylu filmu *Flashdance*. Legginsy w kolorach tęczy. Czarne rajstopy. Tyle cieni do oczu, pudru i różu, że Julia nie wiedziałaby, co z nimi zrobić.

Wcale nie chodziło o to, żeby siostra musiała się malować. O ile Julia była piękna, to Pepper była ponętna – co zresztą zdaniem Julii było o wiele lepsze. Średnia siostra z natury była zaokrąglona, a teraz, kiedy intensywnie dorastała, stała się bardzo zmysłowa, i to zmysłowa w taki sposób, że bezwiednie prowokowała przyjaciół ojca do robienia w jej obecności różnych głupich uwag.

Chodziło nie tylko o wygląd Pepper. Było coś w jej zachowaniu, co przyciągało do niej ludzi. Zawsze mówiła to, co myśli, i robiła to, co chciała. Nie przejmowała się tym, co sądzą inni. Była z pewnością bardziej doświadczona od Julii. Spróbowała zapalić hasz w szóstej klasie. Na imprezie w zeszłym tygodniu wciągnęła kokę, co było przerażające, ale robiło wrażenie. Złoty medalion był prezentem od chłopaka, z którym Pepper poszła na całość na tylnym siedzeniu chevroleta należącego do jego ojca. Przynajmniej Pepper tak twierdziła, a czemu miałaby kłamać?

Julia wsunęła medalion z powrotem pod kołnierz. Włożyła na rękę kilka czarnych i srebrnych bransoletek, bo w tym samym czasie też kupiła ich kilka i nie było sposobu ustalić, które należały do kogo. Zabrała czarną kokardę. Zostawiła

żółtą apaszkę na łóżku, mając nadzieję, że siostra ją zobaczy pośród porozrzucanych części garderoby.

Już miała wyjść z pokoju, kiedy usłyszała cichy jęk.

Zmarszczyła brwi na ten znajomy odgłos. Czy biedny stary labrador wlazł do kąta i zapomniał, jak z niego wyjść? A może jeden z kotów szykuje się do zwymiotowania połkniętej sierści zbitej w twardy kłębek?

Znów rozległ się jęk cichy i przeciągły, podobny do tego, jaki wydaje zadowolona osoba, kiedy uda jej się wygodnie wyciągnąć na łóżku.

Gdy Julia wyszła na korytarz, zauważyła, że drzwi do sypialni rodziców są zamknięte, ale przez szparę nad podłogą widać było światło. Znów usłyszała jęk i zbiegła po schodach, nim usłyszała go czwarty raz i musiałaby wlać sobie do uszu kwas, by wymazać to z pamięci.

– Fuj – mruknęła, zabierając rower sprzed domu. – Fuj, fuj, fuj.

Przez całą drogę powrotną na kampus myślała o wszystkim, tylko nie o uprawiających seks rodzicach. O aferze Iran-Contras (Julia nie poszła do szkoły, żeby razem z ojcem obejrzeć w domu transmisję z posiedzenia komisji). O swoim pierwszym psie, Jimie Dandym, golden retrieverze, który utykał, ponieważ, jak powiedział ojciec:

– Niektóre osły uważają, że pies zna zasady fizyki, i wożą nieuwiązane zwierzęta na skrzyni furgonetki.

O zeszłorocznym przyjęciu z okazji trzynastych urodzin Sweetpea i jacy wszyscy byli przejęci, że w końcu została nastolatką (z wyjątkiem matki, która wypiła piwo ojca i się

rozrzewniła). O tym, jak dziadek miał zwyczaj wyciągać gitarę po niedzielnym obiedzie i wszyscy tańczyli w takt piosenek, które wykonywał, nawet jeśli nikomu nie udało się rozpoznać melodii.

Kiedy Julia dotarła na kampus, było południe. Przypięła rower łańcuchem przed Tate Student i pobiegła na zajęcia ze Spensera. Profesor Edwards już rozpoczął wykład i surowo spojrzał na spóźnioną Julię.

– Przepraszam – bąknęła i skierowała się do swojego stolika w głębi sali. – Zapomniałam wziąć referat i musiałam po niego wrócić do akademika.

Zamierzała usiąść, ale powstrzymał ją, mówiąc:

– Daj mi go. – Wyciągnął rękę, poruszając palcami, co miało oznaczać, że nie żartuje.

Julia podeszła do profesora Edwardsa. Miała wrażenie, że dzieląca ich odległość liczy tysiąc kilometrów. Podała mu do ręki dwunastostronicowy referat. Na maszynopisie w wielu miejscach widoczne były białe plamy od korektora.

Już chciała się odwrócić, kiedy Edwards powiedział:

– Zostań. To nie potrwa długo.

Stała przed katedrą, kiedy czytał jej pracę. Przestępowała z nogi na nogę, splatała i rozplatała dłonie, nie spojrzawszy ani razu na chichoczących za jej plecami studentów. A profesor Edwards nie patrzył na Julię, tylko siedział ze spuszczoną głową i szybko odwracał kartki. Czasami kiwał głową, częściej nią kręcił.

Edwards był młodszy od większości jej nauczycieli, miał trzydzieści kilka lat, ale na czubku głowy rosła mu już

łysinka, o której rozmawiały dziewczyny. Zresztą nie dlatego, że przez to stawał się mniej atrakcyjny (trzeba było przyznać, że profesor Edwards był bardzo atrakcyjnym mężczyzną), ale ponieważ wiedziały, że mogą ją wykorzystać jako broń, gdyby kiedykolwiek spróbował z nimi jakichś sztuczek.

Ponieważ profesor Edwards cieszył się opinią człowieka, który próbował różnych sztuczek. Była to jedna z tych prawd, które starsi studenci powtarzają młodszym: nie przechodź pod Łukiem, bo nie ukończysz studiów. Na spotkaniach stowarzyszeń studentów często dochodzi do orgii seksualnych. Nie zostawaj sam na sam z profesorem Edwardsem, jeśli nie chcesz usłyszeć uwag o tym, jaka jesteś ładna, jaką masz śliczną pupę, jakie idealne piersi, jak blisko kampusu jest jego mieszkanie.

– Jak się nazywają mnisi, którzy golą sobie czubek głowy? – spytała Nancy Griggs, kiedy o tym usłyszały od studentki ostatniego roku.

– Chyba franciszkanie – powiedziała Julia, myśląc jednocześnie, że matka z pewnością słyszała te wszystkie rewelacje o Edwardsie, ale gdyby Julia powiedziała jej o tym, sprawa ruszyłaby z miejsca i ojciec pojawiłby się na wykładach o Spenserze ze strzelbą.

– Okay, franciszkanie – odparła Nancy. – Więc kiedy spróbuje się do ciebie przystawiać, spytaj go, czy jest franciszkaninem, bo ma łysinkę na czubku głowy.

„Kiedy”, nie „jeśli”. Wszystkie dziewczyny uważały, że profesor Edwards ma słabość do Julii.

A prawdę mówiąc, nigdy się do niej nie przystawiał, chociaż z drugiej strony nie musiał nic mówić o jej pupie czy piersiach, ponieważ jego spojrzenia były aż nadto wymowne. Wielką tragedią (poza tą, która uchodziła mu na sucho) było to, że Edwards był naprawdę świetnym nauczycielem. Julia w szkole średniej słynęła z dobrych wypracowań, po prostu szło jej to gładko i przyjemnie, natomiast Edwards skłonił ją, by włożyła w pisanie jeszcze więcej wysiłku. Z dala dostrzegał jej błędy. Od nowa przepisywał całe zdania, wyjaśniając różnice stylistyczno-znaczeniowe, i nieustannie dopingował do lepszej pracy.

Jednocześnie sprawiał, że czuła się przy nim bardzo skrępowana.

W końcu Edwards uniósł wzrok znad jej referatu.

– Podoba mi się to, co napisałaś, ale wiesz, że jest to niedopracowane.

– Tak, panie profesorze.

Wytrzymał jej spojrzenie. Referat nadal leżał na katedrze, a Edwards położył na nim swoją dużą dłoń, na wypadek gdyby Julia chciała go zabrać.

Zacisnęła ręce, na twarz wystąpiły rumieńce. Spociła się. Nie znosiła zwracać na siebie uwagi, a co gorsza, czuła, że profesor Edwards to widział i znęcał się nad nią, ponieważ mógł sobie na to pozwolić.

– W porządku. – Kliknął długopisem i zaczął kreślić strony z taką mocą, aż dziurawił kartki. – Te niepotrzebne. – Przekreślił dwa akapity, nad którymi siedziała wiele godzin. – Ten... – Wziął w kółko inny akapit i narysował strzałkę na

samą górę strony. – Przenieś tu, a ten tu. I właściwie ten akapit z ostatniej strony powinien być na początku, gdzieś tu, a ten jest zbędny. Ten też. Ten mi się podoba, ale ledwie, ledwie.

Nim skończył, zarówno Julia, jak jej referat, przypominały zegary Eschera spiralnie wpadające w rozpacz.

– Zrozumiałaś? – spytał Edwards.

– Tak, panie profesorze. – Zrozumiała, że już nigdy więcej nie wolno jej się spóźnić na żaden wykład.

Gdy sięgnęła po referat, Edwards przytrzymał go sekundę dłużej, niż było to konieczne, więc kiedy w końcu mu go wyrwała, kartki aż zaszeleściły. Udawała, że przegląda profesorskie uwagi, wracając na swoje miejsce. Czuła, jak Edwards obserwuje każdy jej ruch, nawet chrząknął, kiedy usiadła, jakby parodiował wstęp do piosenki Ala Greena.

Godzina 13.20
Tate Student Center, Uniwersytet Georgii, Athens

Julia siedziała przy stole naprzeciwko Veroniki Voorheers, z którą na spółkę wzięły sałatkę. Wprawdzie Veronica zjadła już ponad połowę porcji, jednak Julii było to obojętne. Straciła apetyt po starciu z profesorem Edwardsem, ale nie tym na początku zajęć, lecz tym, które nastąpiło po ich zakończeniu.

Julia ostatnia opuściła salę. Nagle Edwards znalazł się tuż za nią, tak blisko, że czuła jego gorący oddech na swoim karku.

– Dostaniesz dodatkowe punkty, jeśli dziś wieczorem przyjdziesz na mój wykład – szepnął.

– Och – powiedziała oszołomiona faktem, że znaleźli się tak blisko siebie. – Dobrze.

– W południowym kampusie. Później możemy pójść na kawę i jeszcze porozmawiać o twoim referacie.

– Ja...ja...jasne – wyjąkała jak głupia.

Poczuła, jak przesuwa dłonią po jej pupie w taki sam pełen podziwu sposób, w jaki mężczyźni na aukcji trzody przesuwają dłonią po zadach zwierząt.

Dopiero kiedy się znalazła dwa piętra niżej, Julia na tyle ochłonęła, by pomyśleć, co powinna zrobić. Powinna odepchnąć jego rękę. Powinna zapytać, co to ma znaczyć. Powinna mu powiedzieć, żeby zostawił ją w spokoju, że jest odrażający, że jest okrutny, że jest dobrym nauczycielem, więc dlaczego wszystko psuje, zachowując się jak ostatnia menda.

– O czym tak rozmyślasz? – spytała Veronica, a kawałek sałaty wypadł jej z ust.

Julia przypomniała sobie, jak Mona Bez Nazwiska jadła pierwszego dnia, kiedy pojawiła się w schronisku. Napchała sobie tyle jedzenia do ust, że zaczęła się dławić.

Mona. Julię tak pochłonęły błahe problemy z profesorem Edwardsem, że na śmierć zapomniała o zaginionej bezdomnej dziewczynie.

Czy Mona rzeczywiście zaginęła? Czy naprawdę jakiś mężczyzna porwał ją z ulicy i wciągnął do furgonetki? Czy ta sama furgonetka zatrzymała się obok Beatrice Oliver

pięć tygodni temu? Ten, kto porwał jedną z nich albo obie, wiedział, co robi? Och, wiedział... Nie był abstrakcją, nie był diabłem ani wilkiem z kreskówki. Był rekinem o zębach ostrych jak brzytwa, który porywa bezbronne kobiety i wciąga je w mroczną toń, gdzie może je pożreć.

– Julio? – Veronica postukała w stół, by zwrócić na siebie uwagę. – Co się z tobą dzieje, mała?

– Jestem po prostu zmęczona. – Julia ugryzła zapiekankę z serem, żeby czymś się zająć. Próbowała wyrzucić z umysłu obrazy rekina, powracając myślami do profesora Edwardsa.

Mogła złożyć skargę, ale Edwards będzie miał prawo przedstawić swoją wersję wydarzenia. Julia nie miała wątpliwości, co powie wykładowca. Wyobraziła sobie, co oświadczy Edwards: Jest zła, bo dałem jej niską ocenę z referatu. To zemsta, bo rzuciła się na mnie, a ja jej odmówiłem. Jest szalona. To suka. Już wcześniej były z nią problemy.

Niestety to ostatnie było prawdą. W zeszłym roku Julię zatrzymała straż kampusowa. Kilku studentów ostatniego roku, publikujących w *Red & Black,* podpuściło Julię, żeby zrobiła coś więcej, niż napisała potępiający artykuł o pierwszych eksperymentach wydziału agrokultury z organizmami modyfikowanymi genetycznie. Dopiero gdy włamali się do laboratorium i zniszczyli część sprzętu, zdała sobie sprawę, że jest jedyną osobą, która nie wzięła amfy.

– Mieli źrenice większe od mojego fiuta – powiedział strażnik kampusu do swojego partnera.

Julia nigdy wcześniej nie widziała penisa, ale była pewna, że mężczyzna nic a nic nie przesadzał. W zimnym świetle latarki strażnika jej koledzy przestępcy byli bez wątpienia naćpani do nieprzytomności.

– Hej, ślicznotko! – Ezekiel Mann stanął za krzesłem Julii i pomasował jej ramiona spoconymi dłońmi. – Hop, hop, gdzie jesteś?

Julia swoim zwyczajem powiedziała:

– Przepraszam.

– Nie ma sprawy. – Wpił palce w jej ciało. – Masz ochotę na bilard? Zapraszam na partyjkę.

Julia wstała, nim dokończył zdanie. Dość tego poniewierania mną jak na jeden dzień! – pomyślała buntowniczo.

– Panie przodem. – Ezekiel podał jej kij bilardowy.

Julia wzięła kij, bo ludzie na nią patrzyli i nie chciała wyjść na niewychowaną. Umiała grać w bilard (nauczyła ją tego babka), ale specjalnie pudłowała, żeby Ezekiel nie czuł się zażenowany. Jedynym pozytywem był David Conford, siedzący na jednej z nadmiernie wypchanych i obitych tweedem kanap, który komentował grę, jakby był Howardem Cosellem:

– Julia Carroll, młoda dziewczyna, z błyskiem w oku pochyla się nad stołem. Zamierzy się na szóstkę czy na dziesiątkę? – David urwał, żeby napić się coli, i wypadł z roli. – Wiesz co, Julio, jesteś naprawdę w tym kiepska.

– Jest ładna – odparł Ezekiel. – Nie musi być w niczym dobra.

Julia zmieniła kąt i wbiła obie bile do łuzy w rogu.

– Frazier padł na deski! - David zacytował słynną komentatorską frazę i zaklaskał w dłonie. – Tłum zaszokowany wielkim powrotem mistrza!

Ku niekłamanemu zachwytowi Davida Julia wbiła cztery ostatnie bile, a potem umieściła ósemkę w bocznej łuzie, podczas gdy Ezekiel stał wsparty o kij bilardowy. Szczęka mu opadła.

Julia przysiadła na oparciu kanapy obok Davida.

– To było zabawne.

Ezekiel zostawił kij w stojaku i wymaszerował.

David roześmiał się dobrodusznie za odchodzącym przyjacielem.

– Ej, Fast Eddie – zwrócił się do Julii. – Następnym razem daj mi cynk, żebym mógł postawić dolca na twoją grę.

Roześmiała się, bo David należał do tych chłopaków, którzy w sposób naturalny są zabawni.

– Słyszałem, że Michael Stipe będzie dziś wieczorem w „Manhattanie” – powiedział.

– Tak jest. – Krążyły plotki, że główny wokalista R.E.M. pojawi się w tym barze lub sąsiednim, dziś wieczorem albo w ten weekend, a może już tam jest. – Myślałam, że jest w trasie?

– Uwierzę, jak zobaczę, skarbie. – David wstał z kanapy. – Może się tam spotkamy.

– Może – powiedziała Julia, ale tylko z grzeczności.

Klub studencki pustoszał. Julia wzięła torebkę i torbę z książkami. Zamiast wsiąść na rower, skierowała się do

redakcji *Red & Black,* która mieściła się kilka budynków dalej. Gra w bilard podniosła ją na duchu (pozwoliła sobie wygrać!) i chciała wykorzystać moment większej pewności siebie, by przedstawić propozycję artykułu o Beatrice Oliver.

Dwadzieścia osiem stron wydruków, które matka zostawiła na kuchennym stole, pomogło Julii wycyzelować argumenty za koniecznością zajęcia się tą sprawą. Ludzie zawsze mówią, że interesują ich poważne tematy, ale w rzeczywistości lubią być straszeni. Te dziewczyny były zupełnie zwyczajne. Niewinne. Znajome. Mogły być matką, kuzynką czy dziewczyną osoby czytającej. Córka znika z kina. Siostra znika w wesołym miasteczku. Ukochana ciotka odjeżdża samochodem i już nikt nigdy jej nie widzi. Julia wiedziała, co było ważne w historii Beatrice: powtarzające się szczegóły, które od tygodni nie dawały jej spokoju.

Piękna dziewczyna znika, kiedy idzie po lody dla swojego cierpiącego ojca...

Julia się uśmiechnęła. Powtarzała sobie to zdanie, idąc długim korytarzem do redakcji *Red & Black.* I zakrztusiła się dymem, który zawsze ją witał na progu. Wszyscy uważali się za rasowych reporterów, ale żaden z nich nie zamierzał napisać o szkodliwości biernego palenia, ponieważ ich opiekun wolałby odejść na wcześniejszą emeryturę niż zrezygnować z czerwonych marlboro.

Pan Hannah nazywał pokój redakcyjny swoim królestwem, co według Julii było wzniosłym oznajmieniem, że nie

zamierza sprzątnąć stosów papierzysk ze swojego biurka, z kątów pomieszczenia, a przede wszystkim z półek na wszystkich czterech ścianach.

Julia kochała ten bałagan. Kochała okropną mieszankę zapachową nikotyny, farby drukarskiej i tej dziwacznej, niebieskiej substancji, która wychodziła z powielacza. Kochała stukot dalekopisu, furkot drukarki, zapach kleju, trzask obcinarki do papieru i szum dwóch komputerów stojących na długim blacie w głębi pokoju. A szczególnie kochała pana Hannaha, bo pracował w *New York Times, Atlanta Constitution* i *L.A. Times,* aż naraził się tylu ludziom, że jedynym miejscem, gdzie mógł dalej głosić swoje poglądy, okazały się aule uczelni.

– Tylko stała posada – często im powtarzał – daje możliwość swobodnego wypowiadania się.

Pan Hannah, wiecznie rozczochrany i niedbający o wygląd, całkiem dobrze wyszedł na przeprowadzce do Athens. Wydział Dziennikarstwa Uniwersytetu Georgii był znany w całym kraju, co było czymś fantastycznym dla rodzica, który nie chciał płacić czesnego za studia dziecka poza rodzinnym stanem, i czymś strasznym dla ambitnego studenta dziennikarstwa, który chce mieszkać gdziekolwiek, byle nie w mieście, gdzie dorastał.

Pan Hannah uśmiechnął się, kiedy Julia weszła do pokoju.

– A oto i moja ślicznotka. – W jego ustach te słowa brzmiały sympatycznie, a nie jak wywołująca gęsią skórkę zaczepka. – Gdzie mój pełen pasji tekst o zapowiadanej prywatyzacji stołówki?

Julia wręczyła mu artykuł. Przejrzał go, kiedy stała obok. Światło górnej lampy sprawiało, że maszynopis odbijał się w szkłach okularów pana Hannaha.

– Może być – powiedział, co było szczytem tego, na co ktokolwiek z nich mógł liczyć. – Co jeszcze masz dla mnie? Potrzebny mi jakiś nowy i ciekawy temat.

– Zastanawiałam się nad... – zaczęła Julia i poczuła, że zgrabne zdanie, które przed chwilą sobie ułożyła, wypadło jej z pamięci. – Dziewczyna... Piękna dziewczyna...

Pan Hannah klasnął w dłonie.

– I?

– No więc... – Julia miała absolutną pustkę w głowie. Aż cała drżała ze zdenerwowania. Bała się, że za chwilę wybuchnie płaczem.

– Julio?

– Tak. – Odchrząknęła. Język miała jak kołek. Skupiła się na faktach, bo fakty są najważniejsze. – Zniknęła pewna dziewczyna. Mieszka... Mieszkała piętnaście minut drogi stąd.

– I?

– No więc zniknęła. Została porwana. Prowadzący dochodzenie powiedział, że...

– Prawdopodobnie uciekła z chłopakiem – ktoś jej przerwał.

Julia spojrzała nad ramieniem pana Hannaha. Greg Gianakos. Lionel Vance. Budgy Green. Ich głowy wystawały nad ścianką działową niczym głowy piesków preriowych. Wszyscy trzymali w ustach papierosa, wszyscy byli na

najlepszej drodze, żeby w przyszłości stać się facetami sflaczałymi i mieć tak samo zaczerwienione oczy jak ich mistrz. Była tylko jedna różnica. W przeciwieństwie do pana Hannaha patrzyli na nią bez cienia sympatii.

– Nie zwracaj na nich uwagi, mała – poradził jej pan Hannah. – Zaproponuj artykuł, który można umieścić na pierwszej stronie.

– Dobrze – powiedziała Julia, jakby odzyskanie pewności siebie nie nastręczało żadnych trudności. Co stanowiło sedno historii Beatrice Oliver? Czym można było przykuć uwagę czytelnika? Julia przypomniała sobie strach, który ją ogarnął, kiedy po raz pierwszy przeczytała o porwaniu dziewczyny. Lęk, który jej towarzyszył, kiedy dziś rano szła ulicami tak dobrze jej znanymi jak własnych pięć palców. Niepokój, jaki wywołała lektura artykułów w kuchni rodzinnego domu. Musiała wydobyć istotę tego, co ją naprawdę przeraziło w porwaniu Beatrice Oliver, i przedstawić to panu Hannahowi. Nie chodziło tylko o to, że dziewczynę porwano na ulicy. Ani o to, że ją przetrzymywano. Ale przede wszystkim dlaczego to zrobiono.

– Gwałt – powiedziała, patrząc na pana Hannaha.

– Gwałt? – Był najwyraźniej zaskoczony. – Co ma do tego gwałt?

– Została zgwałcona – powiedziała Julia, bo jaki mógłby istnieć inny powód, by mężczyzna porwał dziewczynę na ulicy zaledwie dwie przecznice od jej domu rodzinnego? W jakim innym celu by ją przetrzymywał?

– Mówisz o Jenny Loudermilk? – Greg Gianakos wstał zza biurka i skrzyżował ręce na szerokim torsie. – Wykluczone, żeby udało ci się o tym napisać więcej niż jeden akapit.

Julia wzruszyła ramionami, ale tylko dlatego, że nie miała pojęcia, kim jest Jenny Loudermilk.

Okazało się, że pan Hannah też nie słyszał o tej kobiecie.

– Opowiedz mi o niej.

– Studentka drugiego roku – powiedział Greg, chociaż pan Hannah skierował swoje pytanie do Julii. – Atrakcyjna blondynka. Znalazła się w złym miejscu o złej porze.

– Słyszałem, że lubiła pić – wtrącił Lionel Vance. – Większość wieczoru spędzała, szukając dna w butelce piwa.

– Taak, wszyscy wiedzą, że studentki drugiego roku to alkoholiczki. – Greg był wyraźnie zirytowany, że ktoś mu przeszkodził opowiedzieć tę historię. – Tak czy owak, dziewczyna szła Broad Street, kiedy jakiś facet złapał ją, zaciągnął w boczną uliczkę i zgwałcił.

Pan Hannah poklepał się po kieszeniach, szukając papierosów.

– Nikt nie chce czytać o gwałtach. Lepiej napisać napadnięta, zaatakowana albo sterroryzowana, jeśli nie została pobita. O tym chciałaś napisać? – zwrócił się do Julii.

– Cóż...

– Nie będzie chciała z tobą rozmawiać – odezwał się Lionel. – Nigdy nie chcą z nikim rozmawiać. Czyli o czym chcesz napisać? Jak jakaś dziewczyna się upiła i poszła z niewłaściwym facetem? Jak powiedział Greg, to

wiadomość na jeden akapit. Nie opublikowałbym jej nawet na ostatniej stronie.

Pan Hannah zapalił papierosa.

– Zgadzasz się? Nie zgadzasz? – zapytał Julię.

– Sądzę, że...

– To odosobniony przypadek – przerwał jej Greg. – Jeśli chcesz napisać, że świat nagle zaroił się od gwałcicieli, jesteś w błędzie. I statystycznie rzecz biorąc, kampusy studenckie to jedne z najbezpieczniejszych miejsc.

Pan Hannah wypuścił kłąb dymu.

– Statystycznie rzecz biorąc, tak?

– Słuchaj, Jules – powiedział Greg. – Nie pozwól, żeby emocje wpływały na twoje opinie. Zgadzam się, że to, co spotkało Jenny, nie powinno się wydarzyć, ale reporter tylko przekazuje fakty, a ty nie zgromadzisz żadnych faktów, ponieważ ofiara już czmychnęła do domu, facet, który to zrobił, z pewnością nic nie powie, a gliny nie będą rozmawiać o sprawie, która nigdy nie zakończy się aktem oskarżenia.

Julia mocno zacisnęła dłonie. Przypomniała sobie stos wydruków w torbie. Miała ochotę nimi rzucić w zarozumiałego Grega, ale tylko potwierdzą jego zdanie na ten temat. Dwadzieścia osiem kobiet w stanie liczącym prawie sześć i pół miliona mieszkańców to naprawdę nic nieznacząca liczba.

Jakby czytał w jej myślach.

– Jenny Loudermilk to jedna z piętnastu tysięcy studentek. To odizolowany przypadek.

– Nie o wszystkich przypadkach informują – nie poddawała się Julia.

– Ponieważ połowa ofiar się upija i zmienia zdanie.

– Miałam na myśli doniesienia prasowe. – Przypomniała sobie, że artykuły dotyczyły zaginionych kobiet, a nie ofiar gwałtu czy napaści. – Albo zgłaszane na policję. Czy gdziekolwiek.

– I jest ku temu powód. – Greg zapalił papierosa. – Bo prawda jest taka: kampus jest bezpieczniejszym miejscem dla kobiet, niż był kiedyś. Świat jest bezpieczniejszym miejscem dla kobiet niż kiedyś.

– Czyżby? – Pan Hannah skrzyżował ręce na piersiach. Uśmiechał się jak szaleniec. – Udowodnij to, mądralo. Podaj mi dane statystyczne, które świadczą, że kobiety mogą się czuć bezpieczniejsze.

– Dobrze. – Greg podszedł do jednego z komputerów w głębi pokoju, włączył go i usiadł. – Mamy wszystkie statystyki dotyczące przestępczości z ostatnich dziesięciu lat.

– Umrę ze starości, nim ten grat wystartuje. – Pan Hannah stanął przed metalowymi półkami za swoim biurkiem. Przesunął palcem po grzbiecie kilku książek, nim znalazł tę, której szukał. – Kongres Stanów Zjednoczonych nałożył na FBI obowiązek zbierania raz do roku wszystkich istotnych danych o przestępczości od określonej liczby komisariatów policji w całym kraju. – Wyjął kilka tomów. – Ostatni raport, jaki mam, dotyczy 1989 roku. – Wręczył Julii jeden z woluminów, po czym zawołał: – Budgy! – Chodziło

o jedyną osobę, która nie przyłączyła się do dyskusji. – Potrzebny mi ktoś, kto nie studiuje anglistyki, żeby dokonał obliczeń. Chodź do tablicy. Julio... – Skinął na nią. – Ludność Stanów Zjednoczonych w 1989 roku?

Otworzyła książkę i powiodła palcem po indeksie. Znalazła numer strony, zajrzała na nią i przeczytała:

– Dwieście pięćdziesiąt dwa miliony sto pięćdziesiąt trzy tysiące dziewięćdziesiąt dwie osoby.

– Podziel to przez dwa, Budgy. Mężczyźni się nie liczą w tym równaniu.

– Nie przez dwa – zaoponował Budgy. – Kobiety stanowią prawie pięćdziesiąt jeden procent ludności ogółem.

– L'chaim. – Pan Hannah strząsnął popiół do plastikowego kubeczka. – A potem podziel swoje pięćdziesiąt jeden procent jeszcze raz przez dwa, bo nie zbierają danych o osobach nieletnich.

Julia myślała, że się przesłyszała. Spojrzała na książkę, którą trzymała na kolanach, i przesunęła palec do miejsca, gdzie było wyjaśnienie:

Pod pojęciem „zgwałcenie" rozumie się doprowadzenie lub próbę doprowadzenia przemocą, groźbą bezprawną lub podstępem drugiej osoby do obcowania płciowego. Nieuwzględniane są jednak przypadki uwiedzenia osób nieletnich (bez użycia siły) i inne przestępstwa na tle seksualnym.

– Powinieneś trzeci raz podzielić wynik przez dwa – powiedział Greg. – Przynajmniej tyle kobiet ma później wyrzuty sumienia.

– Ejże! – Pan Hannah podniósł rękę niczym sędzia ogłaszający faul. – Nie pozwalam na domysły. Trzymajmy się faktów. – Zwrócił się do Julii. – Czyli w swoim artykule napiszesz: Z *Jednolitego Raportu o Przestępczości*, sporządzonego przez FBI, wynika, że... i tak dalej, i tak dalej... Tak?

Julia skinęła głową, ale od tej chwili przestał to być jej artykuł.

– Liczba zgłoszonych gwałtów w 1989 roku, Julio? – spytał pan Hannah.

– Och, przepraszam. – Odszukała właściwą kolumnę i odczytała: – Zgwałcenia: sto sześć tysięcy pięćset dziewięćdziesiąt trzy.

– Sto sześć tysięcy pięćset dziewięćdziesiąt trzy – powtórzył pan Hannah, żeby mieć pewność, że Budgy dobrze usłyszał. – Prawdopodobnie liczba ta od pięciu lat utrzymuje się na niezmienionym poziomie, ale trzeba to sprawdzić.

Julia gapiła się na tablicę, osłupiała na widok tej liczby. Ludność hrabstwa Athens Clarke wynosiła niespełna sto tysięcy. Czyli zgwałcono więcej kobiet, niż w tym mieście było mieszkańców, uwzględniając mężczyzn i dzieci.

– No dalej, Budgy. Policz. – Pan Hannah klasnął w dłonie, żeby Budgy się ruszył. – Do roboty, synu. Nie mamy całego dnia.

Julia jeszcze raz spojrzała na dane, pewna, że źle zobaczyła. Ale nie: sto sześć tysięcy pięćset dziewięćdziesiąt trzy. Gapiła się na cyfry, aż zaczęły jej się

zamazywać przed oczami. Ponad sto tysięcy kobiet. A to tylko osoby pełnoletnie. I tylko te, które zgłosiły przestępstwo. I zagrożono im użyciem siły. Jakie były inne przestępstwa na tle seksualnym, których nie wliczano do statystyk? A co z kobietami, które nie zgłosiły się na policję?

Dlaczego wiadomość o przestępstwie trafia na łamy gazet tylko wtedy, kiedy zaginie dziewczyna, która mogłaby opowiedzieć swoją historię?

– Mam. – Budgy tyle razy podkreślił wynik, aż złamała się kreda. – Jak wynika z aktualnych danych, prawdopodobieństwo, że kobieta zostanie zgwałcona, wynosi zero przecinek zero czterysta trzydzieści cztery procent. Czyli jakieś czterdzieści kobiet na sto tysięcy.

Pan Hannah równie dobrze jak Julia wiedział, ilu mieszkańców liczy sobie Athens.

– Czyli sprowadzając tę liczbę do realiów naszego miasta – podsumował – to jakieś dwadzieścia dwie kobiety rocznie. Czyli jedno zgwałcenie co dwa i pół tygodnia.

Julia zamknęła książkę. Czy Beatrice Oliver i Mona Bez Nazwiska były dwiema ofiarami z tej listy? Jenny Loudermilk byłaby trzecia. Pomijając fakt, że był już marzec i prawdopodobnie były inne ofiary, jeszcze przynajmniej dziewiętnaście kobiet w Athens zostanie zgwałconych do końca roku.

A od pierwszego stycznia odliczanie zacznie się od nowa.

Greg zgasił papierosa w puszce po coli.

– Niespełna pół promila wydaje mi się niewielką liczbą. – Skrzyżował ręce na piersiach. – Jest większe prawdopodobieństwo wygranej na loterii albo śmierci w wyniku uderzenia pioruna.

Budgy się roześmiał.

– Jesteś tego pewien, Einsteinie?

– Tak tylko powiedziałem. – Greg machnięciem ręki zbył sarkazm Budgy'ego i zwrócił się do Julii: – Dlaczego tak naprawdę chcesz o tym napisać? To zaledwie sto tysięcy osób z prawie trzystu milionów, czyli kropla w morzu. Nikogo to nie obchodzi. To żadna rewelacja.

Julii nie dano czasu na odpowiedź, bo natychmiast włączył się Lionel:

– A zabójstwa? – Wziął książkę od Julii. – Sprawdźmy zabójstwa. Chcę wiedzieć, jakie mi grozi ryzyko.

– Całkiem spore, jeśli twoi rodzice się dowiedzą, że oblałeś trygonometrię. – Budgy wziął kredę. – No dobrze, czyli liczba ludności dwieście pięćdziesiąt...

– AIDS – powiedziała Julia, a gdy wszyscy się odwrócili, żeby na nią spojrzeć, mówiła dalej: – Powiedzieliście, że to nieważne, bo to zaledwie sto tysięcy osób. – Starała się panować nad głosem. – Mniej więcej tyle przypadków AIDS zdiagnozowano w 1989 roku w Stanach Zjednoczonych, ale pisze o tym na pierwszej stronie *Time, Newsweek*... Codziennie każda gazeta w kraju ma coś do napisania na ten temat, prezydent wygłasza mowy, Kongres zwołuje posiedzenia, ustawa o niepełnosprawnych gwarantuje...

– Ludzie nie mogą kłamać, jeśli chodzi o AIDS – przerwał jej Greg.

Julia poczuła się jak rażona gromem.

– Jeśli chcesz snuć teoretyczne rozważania, to może zastanów się, o ile więcej jest kobiet, które się nigdy nie przyznały do tego, że zostały zgwałcone, od tych, które skłamały, że je zgwałcono. Nie wspominając o nieletnich dziewczętach czy kobietach, których nie pobito podczas...

– Naczelny lekarz Stanów Zjednoczonych ogłosił epidemię AIDS. – Ton głosu Grega był irytująco pedantyczny. – I nie mówi się „chorzy, u których zdiagnozowano AIDS", tylko „chorzy, u których zdiagnozowano HIV, wirus wywołujący AIDS".

Julia wymamrotała pod nosem przekleństwo, co rzadko jej się zdarzało.

Greg udawał, że tego nie słyszał.

– No i poza tym ludzie umierają na AIDS. Kobiety nie umierają z tego powodu, że je zgwałcono.

– Część ich wagin umiera – powiedział Lionel.

– Ej. – Budgy rzucił w niego gumką. – Nie bądź dupkiem.

– Czyli co chcesz napisać? – spytał Julię pan Hannah.

Tym razem nie musiała się zastanawiać.

– Coś strasznego co roku spotyka przynajmniej sto tysięcy Amerykanek i rzekomo nikogo to nie obchodzi.

Greg prychnął.

– Jestem pewien, że magazyn *Cosmo* bardzo to obchodzi.

Pan Hannah zrobił gest ręką, żeby go uciszyć, po czym spojrzał na Julię i powiedział:

– Mów dalej.

– W dziennikarstwie, jeśli coś złego spotyka głównie mężczyzn, to jest to temat warty uwagi całego kraju. Ale kiedy coś złego spotyka kobiety...

– Och, daj spokój – jęknął Greg. – Dlaczego zawsze musi się to kończyć wnioskiem, jakimi dupkami są mężczyźni?

– Nie chodzi o...

– Rozumiemy – powiedział Greg. – Jesteś feministką.

– Nie powiedziałam...

– Nienawidzisz nas, bo mamy fiuty.

– Przestań mi przerywać! – Julia walnęła pięścią w biurko, a ten odgłos przypominał wystrzał. – Nie nienawidzę cię dlatego, że masz fiuta. Nienawidzę cię, bo jesteś fiutem.

W pokoju zapanowała absolutna cisza.

Julia zaczerpnęła powietrza, jakby właśnie wysunęła głowę nad wodę...

– Och, to zabolało! – Lionel trącił Grega w ramię. – Jeden punkt dla królowej śniegu!

– Nie powiedziała... – zaczął Greg. – Nie chodzi o...

Julia odwróciła się na pięcie i skierowała się do wyjścia. Ręce jej się trzęsły. Była zdenerwowana, ale w głębi serca trochę z siebie dumna, bo na koniec dyskusji udała się jej naprawdę wspaniała riposta.

– Ej. – Pan Hannah dogonił ją na korytarzu.

Julia się odwróciła.

– Przepraszam, że...

– Dobrzy reporterzy nigdy nie przepraszają.

– Och – powiedziała, bo nic innego nie przyszło jej do głowy.

– W piątek do dziesiątej rano chcę mieć na biurku konspekt tego artykułu.

Julia otworzyła buzię. Znów odebrało jej dech, milczała więc, a pan Hannah spytał:

– Zrobisz to?

– Tak, oczywiście. Mam też... Chciałam powiedzieć, że mogę też...

– Napisz o tym w swoim artykule. Tysiąc dwieście słów.

– Tysiąc dwieście słów to...

– Artykuł na pierwszą stronę. – Mrugnął do niej. – Przekonałaś mnie, mała.

Patrzyła, jak otoczony chmurą dymu wraca do pokoju.

Pierwsza strona.

Julię ogarnęła panika, kiedy ruszyła w dół korytarza. Przytknęła dłoń do szyi. Jej puls przypominał tykanie bomby. Widziała tylko światło wpadające przez oszklone drzwi, które znajdowały się trzydzieści metrów przed nią.

Pan Hannah powiedział, że może pisać, ale o czym właściwie ma napisać? Historia Beatrice Oliver w gruncie rzeczy nie była związana z tym nowym tematem. Bo Beatrice zaginęła. Prawdopodobnie została porwana (tyle powiedział śledczy), a cała reszta to były wyłącznie domysły. To samo dotyczyło wydruków w torbie Julii o dwudziestu ośmiu zaginionych kobietach. Zniknęły. Tylko tyle można było o nich powiedzieć. Były młode, były śliczne, były urzekająco piękne... i zniknęły.

Co to za temat?

– Jezu – wymamrotała. To żaden temat. A przynajmniej zbyt mało na artykuł na pierwszą stronę.

Oto co ją spotkało za to, że mówi, nie zastanowiwszy się wcześniej. Była wytrącona z równowagi, i zła, i miała dość tego, że próbowali ją przekonać i z miejsca zdyskredytowali jej pomysł. Greg rzucił jakąś uwagę nie na temat i wrobił ją w poważny, polityczny artykuł. A przecież stwierdziła jedynie, że jeśli coś spotyka rokrocznie sto tysięcy osób, to warto o tym napisać.

I dlaczego, do diabła, powiedziała, że AIDS dotyczy tylko mężczyzn, kiedy Delilah jest idealnym tego zaprzeczeniem?

Nie powiedziała, że AIDS dotyczy wyłącznie mężczyzn. Powiedziała, że głównie dotyczy mężczyzn. Tak samo jak nie powiedziała, że gwałt to coś gorszego od AIDS, tylko że to straszne samo w sobie, bez żadnych porównań, i że nikt nie chce o tym pisać. Nikt nawet nie chciał tego nazwać po imieniu. *Napaść. Atak. Grożenie.* Nic dziwnego, że Jenny Loudermilk wyjechała z miasta. Jak kobieta może mówić o czymś tak strasznym, co ją spotkało, skoro nawet nie wolno jej nazwać tego po imieniu?

To dopiero temat na artykuł. Przestępstwo bez nazwy. Ofiary pozbawione prawa głosu.

Julia wyjęła z torby na książki notes i długopis. Musi to zapisać, nim jej to uleci z głowy.

– Co nowego?

Niemal upuściła długopis. Robin opierał się o mur. Ręce włożył do kieszeni. Miał na sobie flanelową koszulę i sprane

dżinsy, a włosy w nieładzie.

Julia poczuła, jak jej usta rozciągają się w głupim uśmiechu.

– Myślałam, że w tym tygodniu wyjechałeś pod namiot.

– Młodsza siostra, ta chora na astmę, zapomniała wziąć leki do inhalacji. – Odpowiedział jej uśmiechem. – To, co miała, wystarczy jej do dziś.

– Jak miło. Chciałam powiedzieć, jak miło, że po nie przyjechałeś.

– Jeszcze nie byłem w domu. – Nachylił się, aż ich czoła się zetknęły. – Miałem nadzieję, że cię spotkam.

Serce zatrzepotało jej w piersiach.

– Skąd wiedziałeś, że będę tutaj?

– Popytałem ludzi.

– Och.

– Ładnie wyglądasz.

Powinna się uczesać. I umyć zęby. I włożyć coś porządniejszego. I schudnąć dwa kilogramy (niech diabli wezmą jej głupią babkę).

– Słuchaj. – Robin trzymał jej dłoń tak, jakby podziwiał przedmiot z porcelany. – Nie wiem, czy powinienem to mówić, czy nie, ale moi rodzice i rodzeństwo są w lesie, dom stoi pusty, nie spodziewają się mojego powrotu wcześniej niż za dwie godziny, a ja tak bardzo chciałbym spędzić z tobą trochę czasu sam na sam.

Skinęła głową, a potem serce znów mocniej zabiło, kiedy dotarło do niej, dlaczego to takie ważne, że dom rodziców Robina stoi pusty, a on ma wolne dwie godziny.

Dotknął nosem jej nosa i spytał:

– Czy to dobry pomysł?

Julii znów odebrało mowę. Dziś rano była taka pewna, że jest na to gotowa, ale teraz znów ogarnęły ją wątpliwości. Czy naprawdę powinna to zrobić? Czy wolno jej to zrobić? Czy Robin nadal będzie chciał z nią być, gdy już mu się odda? I czy można to tak określić, jeśli ona też tego chce?

Bo chciała. Mimo paniki, która ją ogarnęła, czuła, że tego chce.

Czy to oznacza, że jest złą dziewczyną, wyzwoloną kobietą, panną „podpuszczalską", która igra z facetami, a może nawet dziwką? Przecież tu chodziło o coś więcej niż tylko o seks. Chodziło o to, czy zrobiła za dużo, czy też za mało, czy wiedziała, co i jak, czy też nie miała o tym bladego pojęcia.

Zgoda, to szaleństwo. Naturalnie, że wiedziała rzeczy podstawowe, ale poza tym było jeszcze tyle innych rzeczy, które się robiło, z których się korzystało, których się dotykało, brało do ust, lizało albo gryzło (czy też siostra ją okłamała? Bo wydawało jej się, że to boli). Albowiem prawda była taka: Julia liczyła sobie dziewiętnaście lat i nie miała pojęcia, co robi. Na miłość boską, schowała pigułki antykoncepcyjne do buta, który spoczywał w głębi szafy, bo nie chciała, żeby Nancy Griggs rozpowiedziała wszystkim, że jest puszczalska.

– Wszystko w porządku? – spytał Robin.

Julia przycisnęła rękę do serca, które waliło jej jak oszalałe, bo nawet łykając pigułki, mogła zajść w ciążę, bo

nawet jeśli użyją prezerwatywy, może zarazić się czymś okropnym, jej życie będzie skończone, nigdy nie zobaczy swojego nazwiska pod winietą *Atlanta Journal* ani nie opowie przed kamerami o niszczycielskim tornado, więc dlaczego ma w ogóle podejmować takie idiotyczne ryzyko?

– W porządku. – Robin uśmiechnął się do niej trochę krzywo. – Poważnie, jeśli nie chcesz...

– Tak – przerwała mu. – Chcę.

Godzina 16.20
Przed Tate Student Center, Uniwersytet Georgii, Athens

Julii wciąż drżały palce, kiedy wrzuciła monetę do automatu telefonicznego. Usta miała spuchnięte od pocałunków Robina. Skóra na piersiach ją łaskotała. Wciąż czuła go w sobie. Miała wrażenie, że nad jej głową świeci wielki neon: JULIA CARROLL UPRAWIAŁA SEKS.

Miała ochotę śpiewać. Miała ochotę tańczyć. Miała ochotę stanąć pośrodku dziedzińca i wyrzucić czapkę wysoko w powietrze.

Pepper odebrała po drugim sygnale ze słowami:

– Mieszkanie państwa Carroll.

– Cześć, to ja.

– O Boże. Tak się cieszę, że dzwonisz. – Pepper ściszyła głos. – Słyszysz mnie?

Julia rozejrzała się wkoło, jakby ktoś mógł ją podsłuchiwać.

– O co chodzi?

– Smarkula za karę musiała zostać w szkole po lekcjach.

Julia natychmiast zapomniała o Robinie.

– Bujasz!

– Nie. Nic jej nie jest, ale Angie Wexler próbowała rzucić się na nią na korytarzu po zajęciach.

Julia zasłoniła usta dłonią. Biedna Sweetpea.

– Nie lituj się nad nią – dodała Pepper, wyczuwając jej myśli. – Mama i tata nawet jej nie ukarzą.

– Aha... – Julia poczuła, że jej współczucie znika.

– Powiedziała im, że dlatego doszło do bijatyki, bo nie pozwoliła Angie ściągać na chemii, ale naprawdę chodzi o to, że Angie przyłapała smarkulę, jak się obściskiwała z jej bratem. Który ma siedemnaście lat i samochód.

Julia bardzo się cieszyła, że w końcu ma większe doświadczenie w sprawach damsko-męskich od głupiej młodszej siostry.

– Nic jej nie jest?

– Udaje smutną, żeby mama i tata użalali się nad nią. Nadal wybierają się dziś wieczorem do „Harry Bisset’s”.

– Zdawało mi się, że mama powiedziała, że kelnerzy tam zbytnio ironizują?

– To Athens. Wszyscy tu zbytnio ironizują. Dlaczego zadzwoniłaś?

Julia zaczęła skubać łuszczącą się farbę z automatu telefonicznego. Miała w gardle gulę. Szybko zamrugała, bo do oczu napłynęły jej łzy. Dlaczego płacze?

– Wszystko w porządku?

– Jasne, że tak. – Julia wytarła oczy. – Powiedz, co dziś robiłaś.

Pepper zaczęła narzekać na rodziców, na siostrę, na nauczycieli.

Julia wpatrywała się w bezchmurne niebo. Zadzwoniła, żeby powiedzieć Pepper o Robinie, ale teraz nie była pewna, czy jest gotowa, by się podzielić tą wiadomością. To, co zaszło między nimi, było wyjątkowe, romantyczne, piękne i przyjemne (była prawie pewna, że miała orgazm), ale opowiadanie o tym, szczególnie przez telefon, wydało jej się niewłaściwe. Powie o tym Pepper w przyszłym miesiącu, kiedy znów to zrobi (i kiedy będzie pewna, że miała orgazm). Wspomni o tym mimochodem. „Och, o to ci chodzi. Jasne, że to zrobiliśmy".

– Tak czy owak – powiedziała Pepper – ta dziwna dziewczyna o cielęcym wzroku przychodzi uczyć się ze smarkulą. Więc chyba pójdę poćwiczyć z zespołem.

– A ja pewnie wybiorę się do „Manhattanu" – odparła Julia, bo Robin jej powiedział, że może uda mu się wyślizgnąć dziś wieczorem, kiedy rodzice usną. Niedaleko posterunku strażników leśnych była budka telefoniczna. Wyśle Julii na pager trzy jedynki, jeśli uda mu się wyrwać, albo trzy dwójki, jeśli nie. Ogarniała ją rozpacz na myśl, jak będzie czekała w akademiku na znak od Robina.

– Ejże, jesteś tam? – spytała wyraźnie rozdrażniona Pepper. – Zapytałam, czy pożyczyłaś moje bransoletki.

Julia uniosła rękę. Srebrne i czarne koła zsunęły jej się z ramienia.

– Sprawdź w pokoju smarkuli.

– Zrobię to później. Jest naprawdę zdenerwowana. – Pepper znów zniżyła głos. – I możesz być pewna, że dziś wieczorem zatrzymam się koło domu Angie Wexler i napędzę stracha tej małej smarkuli. I jej głupiemu bratu pedofilowi.

– Dobrze. – Julia oparła głowę o mur. Pepper była od niej o wiele lepsza w zastraszaniu ludzi. Ona wolała stać z tyłu i kibicować. – Ej, zastanawiałaś się kiedyś, co z nami będzie, kiedy będziemy stare?

Zaskoczona Pepper roześmiała się.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

Julia wiedziała, dlaczego o tym pomyślała. Kiedy Robin ją obejmował, kiedy na nią patrzył, przyznał się, że lubi pomagać w piekarni, więc jak jego kariera artystyczna nie wypali, może będzie pracował ze swoim tatą, a pewnego dnia może nauczy swojego syna tego fachu.

Swojego syna. Julia mogła mu dać syna. Chciała mu dać syna.

– Na przykład jak będzie wyglądało nasze życie za dwadzieścia lat? – powiedziała do Pepper.

– Będziemy rozmawiały o hemoroidach i wymieniały się radami, jak czyścić protezy zębowe.

– Policz sobie, wariatko. Będziemy w wieku mamy.

– Mama nosi obuwie ortopedyczne.

Julia jęknęła. Pepper miała rację, ale one są zbyt cwane, żeby tak się zestarzeć.

– Zostaniesz żoną fantastycznego faceta, który będzie cię kochał nad życie – powiedziała Pepper. – A ja będę po

rozwodzie z dupkiem, który mnie rzucił, kiedy zaczął odnosić sukcesy jako muzyk.

Julia się uśmiechnęła, bo być może Pepper miała rację, i dalej fantazjowała:

– Smarkula wyjdzie za maniaka komputerowego, który będzie czcił ziemię, po której stąpa jego umiłowana, i miał przynajmniej pół miliona dolarów na koncie.

– Prawdopodobnie będzie go zdradzała z moim byłym.

– Ty możesz być tą, która rzuciła męża, kiedy zaczęłaś robić karierę muzyczną.

– Oby tak się stało – powiedziała Pepper, ale raczej bez przekonania.

– Słuchaj. – Julia znów się rozejrzała wkoło, żeby się upewnić, że nikt jej nie słyszy. – Jeśli chodzi o kokę...

– Wiem.

Nie wiedziała. A Julia sama była świadkiem, czym może się to skończyć. Najpierw spotkało to jej koleżankę z liceum, a potem studentkę trzeciego roku, która rzuciła uczelnię.

– Bardzo szybko może się to przemienić z zabawy w coś bardzo poważnego.

– Nie martw się, mamy w mieście pierwszorzędne schronisko dla bezdomnych.

– Lydio.

Pepper zamilkła. Nikt nigdy nie zwracał się do niej po imieniu.

– Lepiej skończmy tę rozmowę. Obiecałam Jej Wysokości, że przyniosę jej kakao.

– Ucałuj ją ode mnie.

Pepper cmoknęła, nim się rozłączyła.

Julia jeszcze długo po tym, jak skończyła rozmowę, trzymała słuchawkę w ręce. Średnia siostra lubiła kokę. Zażyła ją dwa razy od czasu tamtej pechowej imprezy. Lubiła prochy. Lubiła spotykać się z zespołem. Lubiła wyłączyć się i bujać w obłokach szczególnie wtedy, kiedy w pobliżu kręcił się jakiś fajny chłopak.

Ale nie przerodzi się to w problem. Julia do tego nie dopuści. Jej siostra jest wolnym duchem. Przechodzi trudny okres, jak Julia, kiedy nie chciała wkładać nic pomarańczowego, albo kiedy smarkula chciała jeść tylko groszek cukrowy.

Julia zamknęła oczy i oddała się marzeniom. Siedzieli na ganku domu przy Boulevard, Pepper i Sweetpea grały w karty na schodach, rodzice odpoczywali w bujanych fotelach, dzieci biegały po ogrodzie. Ich dzieci – Julii, Pepper, może nawet smarkuli, która urodzi genialne dziecko, które poświęci się leczeniu raka wkrótce po tym, jak odmówi sprawowania funkcji prezydenta Stanów Zjednoczonych trzecią kadencję.

Julia chciałaby, żeby jej dzieci wychowywały się razem z dziećmi sióstr. Chciała, żeby czuły się tak samo związane z rodziną jak ona. Tak samo bezpieczne. Tak samo kochane. Nic złego nie spotyka tych, którzy są blisko związani ze swoją rodziną. Może na tym polegał problem Beatrice Oliver. Na samym początku poinformowano, że jest jedynaczką. Czy byłoby inaczej, gdyby miała siostry? Czy

siostra nie poszłaby razem z Beatrice po lody? Po drodze opowiedziałaby, co się tamtego dnia wydarzyło w szkole. Czy młodsza siostra nie urządziłaby sceny, żeby też pozwolono jej pójść?

Julia mogła sobie tylko wyobrażać bezsenne noce matki Beatrice, roztrząsającej, co by było, gdyby... Gdyby to ona poszła do sklepu. Gdyby zawiozła córkę samochodem. Gdyby miała więcej dzieci, żeby ból po utracie jednego rekompensowała obecność pozostałych.

Ale czy taką stratę może cokolwiek zrekompensować? Julia nie potrafiła sobie wyobrazić, jak to jest stracić dziecko. Strata ukochanego zwierzęcia, nawet myszoskoczka czy fretki, doprowadzała całą jej rodzinę (łącznie z matką) do rozpaczy. Płakali przed telewizorem, szlochali przy kolacji, opłakiwali stratę, tuląc wszystkie pozostałe psy, koty i resztę menażerii.

Nikt nie opłakiwał zaginięcia Mony Bez Nazwiska. Nikt poza Julią, której wyobraźnia nie przestawała podsuwać szalonych obrazów. Czy Monę przetrzymywano tak, jak Beatrice Oliver? A może sytuacja Mony bardziej przypomina sytuację Jenny Loudermilk, dziewczyny, która po tym, jak ją napadnięto, uznała, że lepiej zniknąć?

Bez względu na wszystko, czy dziewczyna w pewnym sensie nie umiera po tym, jak spotka ją coś takiego? Czy gwałciciel nie odbiera dziewczynie... kobiecie... jej przyszłości, przemieniając swoją ofiarę w kogoś, kto przez resztę życia będzie się bał? Nawet gdyby uwolniono Beatrice Oliver (o ile wciąż żyje), czy mogłaby wrócić do

domu po tym, jak ją zgwałcono? Czy mogłaby spojrzeć ojcu w oczy? Czy mogłaby się nie krzywić przez resztę życia za każdym razem, kiedy spojrzy na nią mężczyzna, nawet uczciwy mężczyzna?

Otarła opuszkami palców skórę pod oczami. Może Greg Gianakos miał rację, gdy powiedział, że ona zbyt emocjonalnie podchodzi do tej sprawy.

Rower Julii stał przymocowany łańcuchem do stojaka, ale nie udało jej się wsunąć kluczyka do zardzewiałej kłódki, więc wsadziła ręce do kieszeni i powlokła się do akademika. Konserwatorzy zieleni naprawiali fragment trawnika zniszczony przez grupę rugbistów. Julia ominęła ich szerokim łukiem. Wstrzymała oddech, kiedy zapach nawozu wypełnił jej nozdrza. Próbowała sobie zaplanować resztę wieczoru. Powinna zabrać do biblioteki śpiwór. Musi się pouczyć do egzaminu z psychologii. Musi poprawić referat o Spenserze. Musi znaleźć więcej danych statystycznych do artykułu. Artykułu na pierwszą stronę. Boże, w co dała się wkręcić? Konspekt do piątku? Dobrze będzie, jak uda jej się przygotować ogólny zarys artykułu.

– Wróciłaś? – spytała Nancy, która pojawiła się nie wiadomo skąd. Roześmiała się, kiedy zobaczyła, jak Julia się przestraszyła. – To tylko ja, głuptasie!

– Wybierzmy się gdzieś dziś wieczorem. – Pomysł, żeby odłożyć zmartwienia do jutra, wydał jej się naprawdę dobry. – Słyszałam, że Michael Stipe ma być w „Manhattanie”.

Nancy zmrużyła oczy.

– A ja słyszałam, że ma być w „Gritt”. A może chodziło o „Georgia Bar”?

– Tak czy inaczej warto się zabawić, no nie? Może spotkamy fajnych chłopaków i naciągniemy ich, żeby postawili nam drinka.

Nancy uderzyła się w biodro.

– Myślałam, że już masz fajnego chłopaka.

Julia się uśmiechnęła, zarumieniła i poczuła ulgę, że Nancy już się na nią nie gniewa.

– Skrzyknijmy całą paczkę. Zabawimy się.

– No nie wiem. Muszę się pouczyć.

– Pójdziemy do biblioteki, potem wyskoczymy gdzieś, żeby coś zjeść, a na wpół do dziesiątej umówimy się z resztą. – Tej godziny nie wybrała zupełnie przypadkowo. Robin obiecał, że wyśle sygnał na jej pager o dziesiątej. Trzy dwójki będą oznaczały, że nie udało mu się wyrwać, a w takim wypadku miło będzie posiedzieć w jakimś gwarnym barze, potańczyć i napić się, żeby zagłuszyć głębokie rozczarowanie.

A jeśli otrzyma trzy jedynki, to będzie bliżej domu rodziców Robina, wciąż pustego i teraz, i przez całą noc, aż do rana.

– No i co ty na to? – spytała Julia, ponieważ większość jej koleżanek tak naprawdę była koleżankami Nancy. – Miła perspektywa, prawda?

Nancy uśmiechnęła się.

– Fantastyczna perspektywa.

Godzina 21.46

Manhattan Café w centrum Athens, Georgia

Julia kochała taniec, choć głównie dlatego, że okropnie tańczyła. Ludzie przystawali, żeby ją obserwować. Patrzyli na nią nie dlatego, że była atrakcyjna, tylko dlatego, że się wygłupiała.

Jak się wyraził jej ojciec o prawie jej wszystkich poprzednich chłopakach, trudno nie lubić głupka.

– Widziałaś Mavericka z *Top Gun*? – Nancy wskazała ruchem głowy stojącego przy barze chłopaka, nieco niższego od Toma Cruise'a.

Julia zmrużyła oczy, żeby lepiej widzieć przez gęstą chmurę dymu papierosowego. Mężczyzna miał na sobie krótką skórzaną kurtkę i okulary przeciwsłoneczne, chociaż było ciepło i znajdowali się w pomieszczeniu.

– Seksowny – powiedziała Julia, starając się tańczyć w miarę do rytmu. Rozmowa zawsze utrudniała jej taniec. Na parkiecie panował ścisk. Ludzie wciąż na nią wpadali, a może to ona wpadała na nich. Kiedy dostała łokciem w żebro, ostatecznie się poddała i skinęła na Nancy, żeby poszła z nią do łazienki.

W długiej kolejce stały głównie niepełnoletnie studentki. Julia dostrzegła zarozumiałą dziewczynę, która dziś rano pogardliwie się wyraziła o jej skarpetkach i pożyczyła od Nancy skórzaną torbę na ramię. Dziewczyna z Alabamy miała najwyraźniej dość. Kiwała się do tyłu i do przodu, złapała równowagę w ostatniej chwili, nim padłaby na twarz, ale nikt jej nie pomógł. Może pogardliwie wyraziła się o skarpetkach również innych studentek.

– Jezu – powiedziała Nancy. – Zachowaj chociaż odrobinę godności.

Julia podniosła głos, żeby przekrzyczeć muzykę.

– Znasz ją, prawda? Była u nas...

– Tak, to Deanie Crowder. – Nancy wzniosła oczy ku niebu, dając do zrozumienia, że wolałaby jej nie znać.

– Mam nadzieję, że ma kogoś, kto ją odprowadzi do domu. – Julia poczuła, jak jej ostry głos nabrzmiewa złością.

– Dlaczego ciągle spoglądasz na zegarek?

Julia spojrzała na przyjaciółkę.

– Bez powodu. Mam wrażenie, że jest później niż w rzeczywistości. – Przełączyła pager na wibracje, ale i tak co rusz na niego zerkała.

– Na czyj telefon czekasz?

– Młodsza siostra wpakowała się w kłopoty.

– Cudowne dziecko?

– Nie jest taka zła. – Julia wsadziła pager z powrotem do kieszeni. Powinna zadzwonić do Sweetpea, żeby zapytać, co tam u niej. I powinna być bardziej stanowcza wobec Pepper w kwestii narkotyków. Ostatecznie jest ich starszą siostrą, więc do jej obowiązków należy troska o nie. W ten weekend znajdzie czas dla nich obu. Może zabierze Sweetpea do sklepu muzycznego Wuxtry, żeby kupić jakiś album. Naprawdę nie jest taka zła, kiedy przebywa się z nią sam na sam.

– Przesuwać się! – rozległo się z końca kolejki.

Gdy znalazły się odrobinę bliżej drzwi do łazienki, Julia zobaczyła swoje odbicie w dużym lustrze sięgającym do

podłogi. Miała na sobie jedną z koszul Robina. Wyjął ją dla niej z kosza z upranymi rzeczami. Uniosła rękę i dotknęła medalionu Pepper. Srebrne i czarne bransoletki zsunęły jej się z ramienia. W ten weekend odda medalion. I bransoletki. I słomkowy kapelusz, bo właściwie należał do Pepper.

– Świetnie wyglądasz – powiedziała Nancy. – Nie, zaczekaj, wyglądasz śliiiiicznie.

Julia się roześmiała. Nancy perfekcyjnie przedrzeźniała jednego durnia z „Taco Stand", flirtującego z każdą dziewczyną, która przekroczyła próg lokalu.

– A ja? – spytała Nancy.

– Ty też śliiiiicznie wyglądasz.

Nancy rzeczywiście wyglądała całkiem, całkiem. Starała się upodobnić do Cyndi Lauper, tak jak Julia do Madonny. Tapirowała ciemne włosy, a dziś włożyła kolorowe bolerko ze złotą lamówką. Czarna spódnica na krynolinie kończyła się tuż nad kolanami. Skórzane botki, nabijane ćwiekami, były szalenie niewygodne, ale prezentowały się wspaniale.

– Mascara? – spytała Nancy.

Julia przyjrzała się uważnie twarzy przyjaciółki, żeby sprawdzić, czy nie rozmazał jej się tusz wokół oczu.

– W porządku. A u mnie?

– Cudownie – powiedziała, przeciągając samogłoski jak Billy Crystal.

Kolejka w końcu się przesunęła i Julia weszła do kabiny. Kiedy zaczęła rozpinać dżinsy, poczuła, jak jej pager wibruje. Nie od razu go wyjęła. Usiadła na sedesie.

Spojrzała na sufit. Spojrzała na plakaty przyklejone do drzwi kabiny. W końcu sięgnęła po pager i nacisnęła klawisz, żeby wyświetlić numer.

222.

Poczuła, jak serce jej się rozpada na milion kawałków.

222.

Uniosła wzrok, starając się powstrzymać łzy. Pociągnęła nosem i wolno policzyła do stu. Znów spojrzała na wyświetlacz pagera, bo może poprzednio źle zobaczyła.

222.

Robinowi nie udało się wyrwać do Athens.

Albo może mógł, ale nie chciał. Może dziś po południu Julia okazała się beznadziejna. Może była nudna. Może Robin wiedział, że nie miała orgazmu, albo może za głośno okazała orgazm, albo zbyt sapała, albo zbyt głupio się zachowywała, albo...

– Boże! – ktoś jęknął.

Julia wyraźnie usłyszała, jak ktoś wymiotuje do muszli klozetowej. To z pewnością dziewczyna z Alabamy, czyli Deanie Crowder. Odgłosy torsji przypominały odgłosy wydawane przez kaczkę wciąganą przez tubę.

Nancy westchnęła. Współczuła rzygającym od czasu feralnej uczty Pielgrzymów w przedszkolu. Julia usłyszała stukot botków na wysokich szpilkach na betonowej posadzce, kiedy Deanie wybiegła z łazienki.

Zamiast pójść za nią, Julia oparła się o rezerwuar. Trzymała pager w dłoni, modląc się, żeby znów zawibrował, a gdy znów naciśnie guzik, żeby zobaczyła 111 – tak, mogę

się wyrwać, spotkajmy się w domu moich rodziców, bo cię kocham.

Właściwie Robin nigdy nie wyznał jej miłości. Czy postąpiła jak idiotka, zgadzając się na seks z Robinem, skoro nawet nie powiedział, że wprawdzie kocha rodziców i rodzeństwo, kocha to i tamto, ale w sercu przede wszystkim nosi Julię?

Ktoś walnął w drzwi kabiny.

– Paniom chce się siusiu!

Julia spuściła wodę, wstała, otworzyła drzwi, umyła ręce. Wróciła do baru i stanęła wystarczająco blisko Mavericka, żeby dotarło do niego, o co jej chodzi.

– Postawić ci drinka? – Z bliska bardziej przypominał Goose'a, ale Julia już się przestała przejmować takimi drobiazgami.

Uśmiechnęła się słodko.

– Ubóstwiam Moscow Mule. – Nie była to prawda, ale koktajl z wódki, piwa imbirowego i soku z limonki kosztował cztery i pół dolara i szybciej można się było nim upić niż piwem za dolara, które piły, kiedy musiały same za siebie płacić.

– Podoba mi się, jak tańczysz – powiedział.

Julia wychyliła drinka.

– Chodźmy.

Podążył za nią na parkiet. Okazało się, że tańczy jeszcze gorzej od Julii. Kiwał się z boku na bok, ręce trzymał zgięte w łokciach, pstrykał palcami. Czasami spoglądał w dół

i przez ramię jak facet, który chce się upewnić, że nie wdepnął w psią kupę.

Julia przynajmniej wkładała w to serce, wyrzucała ramiona, poruszała biodrami, kiedy członkowie zespołu C+C Music Factory zachęcali wszystkich do tańca. Jej partner odpadł, kiedy Lisa Lisa zaczęła śpiewać *Head to Toe*. Julia zamknęła oczy i starała się nie myśleć o Robinie. Nie wiedziała, czy Robin lubi tańczyć. Może nawet wcale nie podoba mu się Madonna. Może tylko tak powiedział, żeby Julia pozwoliła mu się przelecieć. A może powiedział tak, bo naprawdę ją kocha. Dlaczego mówiłby o tym, że chciałby mieć syna i pracować w piekarni ojca, jeśli nie myślał o swojej przyszłości?

A może myślał o swojej przyszłości bez niej?

Julia nie mogła ani chwili dłużej tu pozostać. Na parkiecie panował zbyt wielki ścisk. Przecisnęła się przez tłum. Znalazła torbę wiszącą na stołku barowym, gdzie ją zostawiła. Zaczęła grzebać wśród szczoteczki do zębów i szczotki do włosów, przyborów toaletowych i zmiany bielizny, które zabrała, sądząc, że dziś w nocy nie wróci do akademika. Odniosła wrażenie, że błyszczyk chłodzi jej usta. Mocno się spociła, bo w barze było gorąco. Jakiś starszy facet postawił jej jeszcze jeden koktajl Moscow Mule. Lód się rozpuścił. Drink zmienił barwę ze złotej na jasnobrązową. Ale i tak go wypiła. Wódka paliła jej gardło.

– W porządku? – Nancy klepała ją w plecy, póki Julia nie przestała kaszleć. – Dobrze się czujesz?

– Która godzina?

Nancy spojrzała na zegarek Julii.

– Dokładnie dwudziesta druga trzydzieści osiem.

Tańczyła niespełna godzinę, a wydawało jej się, że upłynęła cała wieczność.

– Chcę wracać.

– Zaczekaj do jedenastej, to wrócimy razem.

– Nie, głowa mi pęka. – Julia uniosła rękę do czoła. Rzeczywiście rozbolała ją głowa.

– To ty powtarzasz, że nie powinnyśmy chodzić same – przypomniała jej Nancy.

– Tylko jak jesteśmy pijane, a nie jestem pijana. – Prawdę mówiąc, Julii trochę się kręciło w głowie, ale prawdopodobnie dlatego, że miała złamane serce. – Dzięki, że wyszłaś ze mną tego wieczoru. Naprawdę wiele to dla mnie znaczy. Przepraszam, że Michael Stipe się nie pojawił.

– Właściwie nie wierzyłam, że się pojawi. – Nancy spojrzała na Julię, jakby zachowywała się dziwacznie. Może tak się zachowywała. – Naprawdę nic ci nie jest?

– Kocham cię – powiedziała Julia. – Jesteś dobrą przyjaciółką.

– Ach. – Nancy znów poklepała ją po plecach. – Ja też cię kocham.

Julia wzięła torebkę z oparcia krzesła. Na parkiecie wciąż kłębił się tłum tancerzy i studentów, którzy będą żałowali, że tak sobie pofolgowali, kiedy rano zadzwonią budziki. Dzięki Bogu Julia nie miała jutro żadnych zajęć. Pójdzie do swojego pokoju w domu przy Boulevard, będzie chodziła

nadąsana, przytuli wszystkie psy i koty i przez cały dzień będzie oglądała w piżamie opery mydlane.

Pchnęła ciężkie metalowe drzwi. Z przyjemnością zaczerpnęła nocnego powietrza. Z każdym krokiem czuła, jak jej płuca rozwijają się niczym płatki kwiatu. W głowie jej się zakręciło od nadmiaru tlenu. Wyciągnęła ręce przed siebie, idąc pustym chodnikiem, obejmując noc, obejmując klarowność, jaką przyniosła.

Jak mogłaby powiedzieć jej babka: Julia potrzebowała mocno stanąć na nogach.

Robin Clark był słodki, dobry, delikatny i cudowny, lubiła z nim być, może nawet go kochała, ale nie był jedynym powodem, dla którego jej świat kręcił się wokół swej osi.

Julia miała dziewiętnaście lat. Przymierzała się do napisania pierwszego artykułu na pierwszą stronę. Ukończy z wyróżnieniem dziennikarstwo na jednej z najlepszych uczelni w kraju. Była zdrowa. Miała przyjaciół. Miała kochających rodziców i siostry. Zamiast zachowywać się jak głupia nastolatka, w której to budziła się, to gasła nadzieja w zależności od tego, co sądzili o niej chłopcy, musi się zachowywać jak dorosła kobieta i stawić czoło faktom. Robin poinformował ją, że nie może przyjść. Gdyby skreślił Julię, gdyby ją tylko wykorzystał, wtedy nie zawracałby sobie głowy, żeby wymknąć się do posterunku strażników leśnych, ryzykując, że ściągnie na siebie gniew rodziców.

Prawda?

Bo Julia wiedziała, że ojciec Robina bardzo poważnie traktuje wakacje pod namiotem. Wyjeżdżali na nie co rok.

Zamykał piekarnię na pierwszy tydzień marca i zabierał całą rodzinę do lasu, żeby móc spędzić z nią czas. I Robin to szanował. Był dobrym człowiekiem. Był taki jak ojciec Julii, a także jak pan Hannah, David Conford i jej dziadek Ernie. Nie był taki jak Greg, Lionel czy profesor Edwards, który prawdopodobnie w tej chwili mówi jednej ze swych nic niepodejrzewających studentek, że chciałby przy kawie porozmawiać z nią o jej referacie, i czy wie, że jego mieszkanie jest zaraz obok kampusu.

Biedactwo. Prawdopodobnie jest na pierwszym roku, taka młoda i naiwna. Greg powiedział, że Jenny Loudermilk studiowała na pierwszym roku, przynajmniej do czasu, aż rzuciła naukę. Szła sobie Broad Street i w ciągu jednej sekundy całe jej życie się odmieniło. Już nigdy nie będzie tą dziewczyną, która sobie szła wolna od wszelkich trosk.

W tym roku życie dwudziestu dwóch kobiet z Athens tak się odmieni. I w przyszłym roku. I w następnym. Nie wspominając tych, którym przydarzyło się to wcześniej.

To straszne, że twoje szanse rosną za każdym razem, kiedy inna kobieta zostanie zgwałcona. Napadnięta. Zaatakowana. Sterroryzowana. Jak zegar na Times Square odliczający sekundy w każdego sylwestra.

Beatrice Oliver. Numer 22.

Jenny Loudermilk. Numer 21.

Mona Bez Nazwiska. Numer 20.

Kto będzie numerem dziewiętnaście? Jakaś pijana studentka pierwszego roku? Dziewczyna, która pójdzie na kawę z profesorem Edwardsem na drugim końcu miasta?

Deanie Crowder, która się dziś porzygała w łazience w barze? Nancy odprowadzi ją do domu. Ktoś powinien odprowadzić ją do domu.

Julia potknęła się o pękniętą płytę chodnikową. Nagle zakręciło jej się w głowie. Żołądek jej się ścisnął. To przez tego drinka. Może zaszkodziła jej wódka albo piwo imbirowe, chociaż nie była pewna, czy po prostu nie było zwietrzałe. Nie można się od tego pochorować, ale czuła mdłości. Oparła się o mur i nagle strumień gorącego płynu chlusnął z jej ust.

Julia ukryła twarz w dłoniach. Coś było nie tak. Próbowała się zorientować, gdzie jest. Jej rodzice byli w restauracji „Harry Bisset's", zaledwie kilka przecznic stąd. Nie ucieszą się, kiedy ją zobaczą w takim stanie, ale byliby zdruzgotani, gdyby się dowiedzieli, że ich potrzebowała i nie zwróciła się do nich o pomoc.

Skręciła w boczną ulicę. Kolana się pod nią uginały. Oparła się o pojemnik na śmieci. Był cały oblepiony nalepkami. Phish. Poison. Stryker. Spróbowała przeczytać nazwę ulicy. Białe litery na zielonym tle rozmazywały się.

Jej rodzice nie mogą być daleko stąd. Odepchnęła się od pojemnika na śmieci. Spróbowała się skupić na chodniku ciągnącym się przed nią. Każdy krok wymagał ogromnego wysiłku. Musiała się oprzeć o starego cadillaca, żeby odzyskać dech. Wpatrywała się w tylne skrzydła wielkości deski surfingowej. Jej ojciec kochał zespół Beach Boys. Kilka lat temu kupili mu na gwiazdkę *Still Cruisin'*. O wiele

bardziej się ucieszył niż z książki o starości, którą mu dali na ostatnie urodziny.

– Wyglądasz, jakbyś zabłądziła.

Julia odwróciła się gwałtownie.

Przed cadillakiem stała zaparkowana czarna furgonetka. Drzwi były otwarte. Mężczyzna pozostawał w cieniu. Znała go. Widziała wcześniej jego twarz, może nawet kilka razy. Dziś? Podczas weekendu? W centrum miasta? Na kampusie? Nie potrafiła sobie tego uzmysłowić.

– Przepraszam – powiedziała Julia, bo zawsze za wszystko przepraszała.

Wysiadł z furgonetki.

Julia się cofnęła, ale chodnik zafalował pod jej nogami.

Mężczyzna podszedł do niej.

– Proszę – szepnęła. Jej siostry. Jej rodzice. Robin. Nancy. Deanie. Beatrice Oliver. Jenny Loudermilk. Mona Bez Nazwiska.

Ostatecznie nie zacisnął jej ręki na ustach ani nie przytknął noża do gardła.

Tylko z całej siły uderzył ją w twarz.

Julia Carroll. Numer dziewiętnaście.

Od autorki

Trochę zmieniłam datę koncertu Phish (w rzeczywistości odbył się 1 marca), ale to logiczne, że nadal tam byli, prawda? Liczby, które przytoczyłam za *Jednolitym Raportem o Przestępczości* (Uniform Crime Reporting Program, UCRP), sporządzanym przez FBI, naprawdę dotyczą roku 1991, w którym toczy się akcja opowiadania. Od 2013 roku rozszerzono pojęcie gwałtu (ale uwiedzenie osoby nieletniej i kazirodztwo nadal nie są uwzględniane w tej kategorii). Zgodnie z ostatnimi danymi Crime Clock, w Ameryce w 2013 roku co 6,6 minuty kobieta pada ofiarą gwałtu.

Tytuł oryginału: Blonde Hair, Blue Eyes
Pierwsze wydanie: HarperCollins e-books 2015
Redaktor prowadzący: Grażyna Ordęga
Opracowanie graficzne okładki:
Korekta: Małgorzata Narewska

© 2015 by HarperCollins e-books
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2015

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiejkolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiekolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgoda Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN 978-83-276-1701-9

Konwersja do formatu EPUB:
Legimi Sp. z o.o. | www.legimi.com